

Łzy karpackiej ziemi ————— *Jan Fudżak*

ŁZY KARPACKIEJ ZIEMI

Jan Fudżak

ŁZY KARPACKIEJ ZIEMI

Wspomnienia

Jasło 2005

Gdzie jesteście moi sąsiedzi-Rusinami zwani?
Dlaczego nie mogę porozmawiać z wami?
Za co wszystkich was wywieźli?
Nasze wioski pozostały w zgliszczach ...

ROZDZIAŁ I

Moja droga na Wschód
Na zesłaniu
Życie w „Raju”
Wiersz „Na kolchozowym wschodzie”
Marzenia o powrotach

ROZDZIAŁ II

W UTSK

ROZDZIAŁ III

Na Podkarpaciu
Zmiany nazw geograficznych

OD AUTORA

Uchwałą Sejmu Rzeczypospolitej Polski dnia 15 lipca 1928r., zniesiono prawo używania nazwy Rusin we wszystkich jego odmianach i zastąpiono ją nazwą Ukrainiec(ka) na terenie całego obszaru ówczesnej Polski. Zdecydowały o tym zobowiązania Polski wobec decyzji Rady Najwyższej Konferencji Pokojowej w Paryżu, która dnia 25 czerwca 1919r. powierniczo oddała Ukrainę na okres 25 lat pod administrację polską, w którym to czasie miała ona pomóc Ukraińcom w utworzeniu swojej samodzielnej państwowości. Zobowiązania Polski wobec Ukrainy i Ukraińców nie zostały dotrzymane. Zastąpiono je ostrą dyskryminacją i tworzeniem podziałów we współżyciu pomiędzy Ukraińcami i Polakami. Czasowe powiernictwo nad Galicją utożsamiano z polską racją stanu i polskim patriotyzmem. Osadniczo-kolonialny i administracyjny ucisk narodowościowy i gospodarczy wytworzył zarzewie polsko-ukraińskiej wrogości i przeniósł go na następne pokolenia.

Konferencja zwycięskich mocarstw nad hitlerowskimi siłami w II wojnie światowej w Jaltie wyraziła zgodę na żądanie Stalina na prawo zmiany niektórych granic państwowych w Europie. Na tej podstawie między innymi Związek Radziecki swoje granice poszerzył po linię Curzona. Unaradawianie przejmowanych terenów przez ZSRR i Polskę, hasła zrodzone z nienawiści i krzywd w rodzaju „Oczyścić Wołyń z Ukraińców” i „Polacy het za Sian” stawały się nieaktualne. Przystąpiono do opracowania planu przesiedleń ludności. Jego wdrażanie rozpoczęto natychmiast po przesunięciu się frontu. Realizację tych masowych przesiedleń łączono z jednoczesnym przeprowadzaniem reformy rolnej i upaństwowianiem przemysłu przez nowo tworzone struktury władzy systemu partyjno-socjalistycznego. Wykonanie tych zadań powierzono Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego z siedzibą w Chełmie-Lublinie. Pełnomocnikiem realizacji przesiedleń dla obszaru Polski, Ukrainy i

Białorusi był mianowany przez Bolesława Bieruta Władysław Wolski. Nadzór nad całością przesiedleń przejął rezydujący we Lwowie radziecki generał Nikita Chruszczow, któremu podlegały oddziały NKWD wchodzące w skład mieszanych agitacyjnych Komisji przesiedleńczych. W czasie trwania akcji przesiedleńczych od miesiąca października 1944 do sierpnia 1946 roku w oparciu o tak zwaną Polsko-Ukraińską Umowę, plan tych przesiedleń został zrealizowany: ze wschodu do Polski w 91,6 % i z Polski na wschód w 97 %. W liczbach osobowych oznaczało to: z nowego terytorium ZSRR, czyli z Ukrainy do Polski przesiedlono 283 499 rodzin stanowiące 810 415 osób, a z Polski wywieziono 122 622 rodziny o liczbie osób 489 880. Do powyższych liczb nie zaliczono deportowanych i aresztowanych a więc podejrzanych lub posądzonych o działalność zbrojną, tak polską jak i ukraińską oraz kler, głównie greko-katolicki. Utworzone mieszane komisje przesiedleńcze natychmiast przystąpiły do działania w terenie, a tułacza dola przesiedlanych pozostawała niemal bez żadnej podstawowej opieki. Przesiedlana ludność, znacznie wyniszczona hitlerowską wojskową okupacją, nigdy nie otrzymała żadnej rekompensaty ani nawet nie obliczono poniesionych przez nią strat. Nie mogła też korzystać z przyznanej dla Polski 15 % powojennej reparacji i innych odszkodowań, jak też z zagranicznych zapomóg. Przedstawiciele Polski Józef Cyrankiewicz i Stanisław Szwalbe w rozmowie ze Stalinem w maju 1946 roku, jako członkowie polskiej delegacji domagali się tylko i wymogli zwolnienie z niewoli wszystkich jeńców wojennych, tych którzy nazwą się Ślązakami i ich repatriowanie do Polski. W tych rozmowach nie wspomniano nie tylko o Ukraińcach - aktualnych i byłych obywatelach Polski, często byłych jej żołnierzach, w tym również oficerach w Katyniu i innych, ale nawet o losach Polaków przesiedlonych, (deportowanych) pozostających w ZSRR. Przesiedlenie ludności polskiej do Polski odbywało się w spokoju i bezkrwawo. Na licznych stacjach kolejowych, w tym w Tarnopolu, widziałem Polaków oczekujących na podstawienie im wagonów, przy rozpalonych ogniskach bez żadnego strachu i

zaniepokojenia. Zupełnie inaczej wyglądało przesiedlanie z Polski. Tu ludność ukraińska, zwłaszcza na terenach wschodnich powiatów zetknęła się z opieką radzieckiej administracji, która już w latach 1939-1941 zdążyła zaopiekować się wieloma polskimi i ukraińskimi działaczami. O zupełnej dobrowolności wyjazdów na tych terenach nawet nie rozmawiano. Nieco inaczej natomiast opuszczano tereny Łemkowszczyzny zachodniej, gdzie na bazie ciężkiej doli łemkowskiego chłopa w warunkach słabo urodzajnych górzystych terenów, działalności partii Sel-Robu i propagandzie Komunistycznej Partii Polskiej wyidealizowano marzenia o 8 godzinnym dniu pracy w sowieckim kołchozie i bez kapitalistycznego wyzysku. Także tu w Karpatach, w powiatach Sanok, Lesko, Krosno, Strzyżów, Jasło i Brzozów dobrowolność przesiedleńcza była różnorodnie twardo wspierana przez formacje wojskowe, tak polskie jak też radzieckie i służby administracyjne. Towarzyszyły temu także zupełnie tolerowane samowole nowej władzy terenowej, napady rabunkowe, gwałty, prowokacje, zastraszania i morderstwa. Wzniesienie strachu i nienawiści potęgowała trudność w odróżnianiu bandytyzmu od legalnej władzy. W rozmaitych formach działania nie zabrakło także formacji legalnego wojska polskiego i oddziałów radziecko-języcznych. Ludność ukraińska w tym stanie rzeczy często próbowała samoobrony lub szukała pomocy czy wsparcia w oddziałach Ukraińskiej Powstańczej Armii. Odnotować należy także jedyny przypadek, iż pojedynczymi rodzinami, które pragnęły uniknąć wysiedlenia na wschód, zajęła się zmuszaniem ich na wyjazd siedmioosobowa samozwańcza milicja z Brzezowej koło Żmigrodu składająca się z samych Łemków pod przewodnictwem Łukasza Kityka, zorganizowana i opłacana przez jasielskiego komendanta NKWD majora Suworowa. Przypadkiem i w zupełnie innych okolicznościach w tym zawirowaniu naszej powojennej historii znalazłem się także i ja. I to w co ciekawszych fragmentach, niniejszym dedykuję Drogiemu Czytelnikowi.

Jan Fudżak

MOJA DROGA NA WSCHÓD

Jarzmo hitlerowskiej okupacji znaczyło się piętnem strachu i cierpień. Widok policjanta powodował pytania, kogo znowu zabią lub rozstrzelają? Ciężar żywnościowych kontyngentów, darmowe prace, wywózki ludności na przymusowe roboty do Niemiec, aresztowania bez podania przyczyny, zsyłki do koncentracyjnych obozów i rozstrzeliwania powodowały organizowanie się ruchu oporu.

W mojej miejscowości Myscowa koło Dukli ruch antyhitlerowskiego oporu był wyjątkowo dobrze zorganizowany. Składał się on przeważnie z miejscowej ludności lemkońskiej i nosił nazwę „Borci za swobodu”. Mimo podstępnego zamordowania jego czołowych dowódców, Grzegorza Wodzika i Andrzeja Zawijskiego, jego partyzancka działalność rozwijała się i terytorialnie sięgała po Nowy Sącz i dość rozległe tereny na Słowacji, po Bańską Bystrycę włącznie. Oddział ten w szczytowym okresie drugiej połowy 1944 roku liczył już 300-tu dobrze uzbrojonych partyzantów, do których przynależała także grupa młodzieży, z których większość zginęła podczas wykonywanych zadań tak na terenie Polski jak i Czechosłowacji. Istniała też dobra współpraca z partyzantką polską a szczególnie z oddziałami Batalionów Chłopskich Adama Kozickiego ze Starego Żmigrodu i Popowicza z Nowego Sącza oraz oddziałem Armii Krajowej Mariana Paczosa – byłego nauczyciela z Myscowy. Były jednak przypadki, które mogły zaszkodzić zgodnemu współzyciu. Bandy rabunkowe doszczętnie okradły i zamordowały w Myscowej rolnika Antoniego Sysaka. Myscowska partyzantka ustaliła, że dokonali tego ludzie z Kątów: Wencel, Jan Grzywacz, Władysław Zarośliński i Soski. Gdy w miesiąc później w lesie nad Kątami zabijano ostatniego Rusina, który jeszcze mieszkał na swoim gospodarstwie w Kątach, Soski - jego sąsiad powiedział: „Ale ziemia będzie mojego

syna” - słowa Jana Z. i Paryja. Podczas podobnego rabunku w Desznicy członkowie bandy Majki Czesława i księdza Masteja Alfreda „sanitariusza”, zamordowali grekokatolickiego proboszcza Mikołaja Liškiewiczza. Podporucznik Armii Krajowej Władysław Szkodo „Hryć” z dwuosobową bardzo słabo uzbrojoną grupą ludzi przez 3 dni dokonywał w Myscovej rabunkowych rekwizycji bydła, trzody i innych rzeczy, a przy tym ludzi ciężko pobito i wyłącznie za to, że nie umieli po polsku rozmawiać. Ponieważ softysa nie było w domu, aby dla nich zajął się rekwizycjami. Szkodo wziął na zakładnika jego syna Janczaka Dymitra, którego ciężko pobitego i skrwawionego usiłowano powiesić. Miejscowa partyzantka okrążyła i zaległa w ukryciu a jej komendant Łabik z trudem powstrzymał swoich partyzantów przed zlikwidowaniem całej tej grupy nazywającej się akowcami, co w dalszym czasie na długo mogło zniszczyć miejscowe dobrosąsiedzkie i narodowe współzycie z Polakami. Ja byłem ranny podczas przechodzenia linii frontu nad Polanami i drugi raz ciężko ranny nad wsią Varadka koło Svidnika na Słowacji. Po podleczeniu ran przydzielono mi nowe zadania w Bodakach, Małastowie i Sękowej koło Gorlic, i tu zastał mnie koniec wojny. Wysiedlonych spod linii frontu rodziców odnalazłem w Wołowcu. Ojciec ciężko pobity przez niemieckich żołnierzy, był konający i wnet zmarł. Nie było czym zapłacić za deski na zrobienie trumny i obrzęd pogrzebowy. Matka mimo ostrej zimy dała na ten cel z siebie kozuszanekę, a ja samodzielnie kurtkę „hunię” wraz z moim partyzanckim pistoletem i zapasem amunicji. Grabarz nie żądał niczego. Ksiądz grekokatolicki Włodzimierz Hajdukiewicz odmówił posługi bez zapłaty. Nie odmówił prawosławny. Do Myscowy oboje z matką Ksenią wróciliśmy w czasie, gdy ludność opuszczała swoje, już zupełnie puste domy i w głębokich śniegach niemal bez żadnego pożywienia, pieszo kolumną kierowała się do stacji załadunkowej we Wróbliku koło Rymanowa. Nasz dom zastaliśmy bez okien i drzwi. Przy rozwalonej kuchni leżał nasz kot. Poznał nas i narobił długotrwałego miauku radości. Ciągle się do nas łąsił i miauczał, jakby dużo chciał nam opowiedzieć. W

pobliskich bunkrach znalazłem trochę niedojadków poniemieckiego suchego chleba. Głodowaliśmy. Gdy śnieg zaczął topnieć, zbawieniem były wygrzebywane z gliny w zagonach zamrożone ziemniaki. Obmyte i suszone na słońcu dawały - choć śmierdzący - ale pokarm na przetrwanie. W Żmigrodzie polska milicja aresztowała myszowian za ich wypowiedzi, że oni do ZSRR nie chcą wyjeżdżać bo słyszeli, że tam jest bieda. Byli to dawni partyzanci, Gałajda Adam i Wisłocki Szymon. W oparciu o moje zaświadczenie z naszej partyzantki i zaświadczenie dowódcy radzieckiego wojska kapitana Tielegina, dnia 28 marca 1945 roku wymogłem ich zwolnienie i razem wróciliśmy do Myscowy pieszo, bo wtedy żadna drogowa komunikacja jeszcze nie istniała. W pierwszych dniach kwietnia 1945 roku zostałem aresztowany przez wojsko i wraz z osadnikiem Janem Ziembą – Ptaszkaninem ze związanymi w tył rękami zaprowadzono nas na wojskową placówkę w Hucie Polańskiej jako banderowców mimo, że takowych myśmy nigdy dotąd nie widzieli, ani o ich istnieniu nie słyszeli. Torturowano nas. Skończyło się to zbawiennie, bo Ziembra jako osadnik Polak odniósł się do oficera bardzo ostro, gdyż był przekonany, że zostaliśmy aresztowani z nakazu wójta Wojciecha Frankowicza. Powiedział on: „co wy chcecie od tego chłopaka, jaki tam on banderowiec. Znam go dobrze i za niego ręczę. Za co go tak skrwawiliście, za to że wójt chce sprzedać jego dom, bo ma na niego kupca z Mytarki, a nie jest wolny, bo chłopczyna w nim mieszka? Za to, że jest on Rusinem, to go zniszczyć i wy poruczniku jemu w tym pomagacie? Mnie też on przecież oskarżył fałszywie, bo nie chcę się żenić z jego córką Stefką. Proszę zaraz wypuścić chłopaka i mnie”. Mnie po drodze słało, krew nadal ciekła z ust i ucha. Musiałem często siadać, ale Ziembra mnie nie zostawił i pomógł.

W drugiej połowie kwietnia 1945 roku w godzinach rannych (a była to niedziela), do Myscowy przyjechało na dwóch ciężarowych autach około 60-ciu gorlickich i jasielskich ubowców. Rozpoczęła się specjalna obława na Rusinów i ich ograbianie według pisemnego wykazu. Mnie i Jerzego Baligrodzkiego aresztowano na drodze

nieopodal domu zajętego przez wójta Frankiewicza. Kiedy wójt wskazał na nas obu ręką, związano nam drutem ręce i włożono do kieszeni po dwa naboje. Postawiono nas pod murem opuszczonej piwnicy, a od wójta przyniesiono stół i krzesło. Rozpoczęto przesłuchanie: „Od kiedy my jesteśmy w bandzie, komu nieśliśmy w kieszeniach tą amunicję, jaką mamy broń i tak dalej”. Z ochotników oficer wyznaczył 3-osobowy pluton egzekucyjny. Odczytano nam ręcznie napisany protokół z takimi słowami: „... w wyniku przeprowadzonej obławy ujęto i aresztowano dwóch miejscowych bandziorów. Do winy i przynależności do band oni się nie przyznają, ale ponieważ przy obydwóch znaleziono naboje ich słowom nie można dać wiary. W warunkach polowych wyrok śmierci na nich wykonano przez rozstrzelanie. Kiedy podano rozkaz ładuj broń, niespodziewanie przybiegł tam z krzykiem sołtys wsi Myscowa Józef Zagórski - osadnik i szwagier wójta Frankiewicza. „Ludzie, co wy robicie, za co, jakie oni tam banderowcy, to spokojni ludzie, ja ich obydwu dobrze znam i za nich ręczę. Proszę ich zwolnić”. Na to dowódca obławy podporucznik UB: „A wy sołtysie możecie się pod tym, co mówicie podpisać”? Sołtys: „Oczywiście, że podpiszę i proszę ich zaraz zwolnić” i podpisał. Wtedy ten oficer do innego: „Idźcie wy do tego wójta, co on sk... syn...” i nie dokończył, bo jeden z plutonu egzekucyjnego Czesław Szymański zwrócił się do niego słowami: „Obywatelu szefie, a ten młody to utrzymywał z naszym oddziałem AK kontakt”. Wypowiedź ta spowodowała, że Baligrodzkiego zwolniono, a mnie jeszcze mocniej związano ręce i trzymano pod strażą. Wśród tych UB w mundurach i z bronią było kilku Łemków, z którymi i po dziś dzień przychodzi mi się spotkać i to również jako działaczami w Ukraińskim Towarzystwie, w Zjednoczeniu Łemków i na imprezach „Watry”. Wtedy do późnego popołudnia w Myscovej przeprowadzano grabież, ale tylko w domach jeszcze zamieszkałych tu Łemków. Z Teodora Posypanko nawet zdarto odzież, pozostawiając go jedynie w bieliźnie i boso. Pod wieczór przywieziono mnie do UB w Jaśle i zaprowadzono do komandira NKWD na powiat

Jasło majora Suworowa. On przywitał nas - mnie słowami: „Da jeto ukraińskiej banditi i zaciem on do mienia a nie uniczożen?” - przy tych słowach pstryknął on palcami i pokazał na drzwi w znaczeniu - wyprowadzić! W tym czasie weszło tam kilku jasielskich ubowców a wśród nich szef podporucznik Józef Kucharski, który mnie dobrze znał z lat okupacji, bo w sąsiednim domu często się ukrywał. Chciał się ze mną przywitać i kazał mnie rozwiązać, ale Suworow nie zezwolił. Na usilne prośby Kucharskiego, Suworow odpowiedział: „Nu charaszo, puskaż”, on żywiot, da wysłał jowo na wastok, no pod acharanoj”! Następnego dnia i bez żadnego jedzenia czteroosobowy konwój funkcjonariuszy UB odstawił mnie do Chyrowa i za pokwitowaniem przekazano mnie enkawudystom. Dokoptowano mnie do transportu przesiedlanych, pod strażą i bez prawa rozmawiania. Koło transportu kręcił się bardzo zarośnięty i obdarty żebrak. Jeden z konwojentów po cichu powiedział do mnie i grupki przesiedlanych po ukraińsku: „Ceje nasz oficer NKWD”. Mój konwój zmieniał się czterokrotnie, a mnie 3 razy przeprowadzano do innych transportów przesiedlanych z Polski na wschód. Nikt nie wiedział dokąd nas mają zawieźć i nie było kogo zapytać. Dokuczał głód. Zupełny brak jakiegokolwiek opieki czy pomocy. „Dobrobyt” tu był już dostrzegalny zbyt jaskrawo i wszędzie!

NA ZESŁANIU

STACJA DOCEŁOWA ROWENKY

17 maj 1945 roku. Pociąg zatrzymał się wśród gęstwiny suchych badyli. W oddali widać zabudowy jakiegoś miasteczka. Odłączono nasze 4 bydłące wagony z przesiedleńcami z Polski. Jeden z konwojujących nas enkawudystów powiedział nam, że to jest miejsce naszego przeznaczenia i wszyscy mamy tu wysiadać. Groził automatem i krzyczał: „bystriej, bystriej!” Dołączył on do kolegów enkawudystów

i pociąg z nimi odjechał, a my po raz pierwszy bez konwojentów, ja ponadto bez związanych rąk. Pozostaliśmy koczować w tym dziko zarośniętym stepie pod gołym niebem bez żadnej pomocy, opieki i zainteresowania nami przez kogokolwiek. Pierwsza noc wydała się nam jakaś straszna tym bardziej, że gdzieś niedaleko słychać było wycie wilków. Jedna z przesiedlonych rodzin dowiozła tu swoją krowę, którą teraz ludzie obścapiłi dla ochrony przed wilkami. Poprzedniego dnia padał deszcz, a w niekrytych wagonach nie było przed nim schronienia. Teraz wszyscy trzęśliśmy się z zimna, bo noc była bardzo chłodna. Zaczął się lamęt i płacz. To, co po drodze zaobserwowaliśmy z wagonów przez szczeliny i obecna nasza sytuacja przy stepowych torach kolejowych, pozwalała się już zorientować, do jakiego to trafiliśmy „raju”! Dalsze położenie naszej sytuacji, te nasze obawy jedynie w pełni potwierdziły. Nikt tu nie przyszedł nas przywitać lub zapytać, czy ktoś z nas nie jest chory, albo czy nie jesteśmy głodni? Kobiety mężom nie pozwalają oddalić się od siebie ani na chwilę. Płacz się potęguje. Dopiero w czwartym dniu naszej stepowej vegetacji i odpędzania wilków, teraz nawet w dzień, przyprawiono po nas 6 furmanek. Przyprawiono dosłownie, bo każdy taki owalny wóz prymitywny, a zwany tu arba, ciągnęły dwa woły, które prowadziła młoda dziewczuszka, a druga taka szła obok i słownie tą pierwszą i wołami kierowała krzycząc: „Sob” – w lewo albo „Sobe” - w prawo. Już sam widok tych dorodnych dziewcząt dawał obraz nie tylko nędzy, ale wręcz zgrozy i strachu, gdzie myśmy trafili?! Na ich nogach widzieliśmy stare dziurawe walonki, podarte i prymitywnie pozszywane kufajki oraz także prymitywną spódnicę z worków i... gołe, brudne nogi. Te młodziutki dziewczyny były jeszcze w wieku szkolnym. Odpowiadały nam, że muszą „rabotat bo nada kuszat”. Na płacz przesiedlonych tu kobiet opowiadały zgodnie „Niczewo, wy toże przywyknietie”. Poznano nas. Poznano nas, że oni mają nas zawieźć do kołchozu, którego sami zechcemy - pod imieniem „Budionnowo” albo „Piotrowskowo”. Gdy usłyszeliśmy, że przewodniczącym kołchozu „Budionnowo” jest Rosjanin a „Piotrowskowo” Polak, to

wszyscy zdecydowaliśmy bez wahania pójść do Polaka, a podwoły od „Budionnowo” wróciły puste. Tego bezpowrotnego wyboru bardzo żałowaliśmy, gdyż u „Budionnowo” ludzie w zasadzie nie chodzili głodni, a u nas?! Tymi podwodami jechaliśmy, a raczej szli na nogach, bo dziewczuszki prosiły, żeby woły nie przemęczać, przez boczne uliczki rejonowego miasteczka. Za miasteczkiem stepowa droga prowadziła w bezkresną dla oka dal, a czarny spod nóg popiół czynił nas wzajemnie ledwie dostrzegalnymi. Na częste pytania: jak to jeszcze daleko? Dziewuszki odpowiadały zawsze, że „uże nie daleko”. Na miejscu w kołchozowych chutorach o bardzo prymitywnej zabudowie i wszędzie dostrzegalnym bałaganie i niegospodarności, przywitał nas brygadir. Którzy tu chcieli skorzystać z prymitywnego wychodka, a zwłaszcza kobiety, srodze się rozczarowali bo wylewające się spod niego fekalia uniemożliwiały zbliżenie się nawet na kilka metrów. Brygadir zaraz zaopiekował się odebraniem krwi dla kołchozu, mówiąc: „Ta ona wam uże nienużna, a u nas wsio połuczycie - małoczko toże”. Po takim to przywitaniu oraz perspektywą poznania „NASZEGO” kołchozu z odległości, brygadir ten kazał dziewczuskom z powrotem odwieźć nas do Rowieniok na kwartiry z karteczką numerów domów. Tu rozdzielała nas przedstawicielka z Selsowietu (odpowiednik urzędu gminy). Mnie przypadło zamieszkać z dwoma innymi rodzinami w małym kamiennym domku w liczbie 12 osób. Był to domek podobny do innych na tej ulicy, jednoizbowy o wewnętrznych rozmiarach 3,5 x 5,5 metra i dwóch małych okienkach. Murowany z łupanego kamienia i kamiennymi bryłami kryty, które to pokrycie służyło za dach a jednocześnie stanowiło sufit. A płyty te wspierały się na ścianach - oczywiście, nietynkowanych i na jednym drewnianym słupie pośrodku tej izby. Był on nieocenionym, bo po wbiciu do niego gwoździ, służył nam wszystkim za szafę i pełnił wszelaką inną funkcję. Rodzina Dmitra i Justyny Kielów z czwórką dzieci posiadała przywiezione dwa żelazne łóżka, więc bywało, że niekiedy i ja mogłem sobie przy nich trochę usiąść. Makuch z żoną także Justyną i 5-letnią córeczką wracali z przymusowych robót w Niemczech.

Pochwycono ich na stacji kolejowej w Jaśle i siłą deportowano, więc nie mieli zupełnie niczego, bo przy tym Straż Ochrony Kolei w Jaśle także ze wszystkiego ich ograbiła. Dla wszystkich zbawiennym okazał się mały, żelazny piecyk przywieziony przez Kielów. Kielo był inwalidą bardzo kulawym a nadto obydwójce byli nie zaradni. Makuch natomiast był okropnym „bojahuzem” ale silnym fizycznie i zgodził się chodzić ze mną nocami w step za suchymi badylami na opał, a niekiedy także i za żywnością: zrywanie kłosek pszenicy, kolb kukurydzy czy arbuza. W co drugą noc, a niekiedy i w każdą z odległości 5–6 km na naszych plecach przynosiliśmy tych suchych badyli na tyle, że nawet ugotowaliśmy sobie i mogli zjeść trochę pszenicy oraz zagotować wodę na tak zwany kipiatak. Na tej naszej ulicy było domów około 160 a tylko 2 studnie. Ulica nazywała się Tielman. Ulica ta miała elektryczne oświetlenie a także kilka jej domków. My, tak jak też większość nie. Mieszkaliśmy w domku nr 142. Na słupach oświetleniowych wisiały głośniki radiowęzła. Zwykle służyły one tylko do naganiania ludzi do kołchozu „na rabotu, bo nada bolsze chlieba”. Już od pierwszych dni nasz „dobrobyt” jawił się nam jako wszędobylski i bardzo dotkliwie namacalny, a obficie dniami i nocami oblewany łzami.

ŻYCIE W „RAJU”

BEZ WYZYSKU CZŁOWIEKA PRZEZ CZŁOWIEKA GDYŻ WYRĘCZAŁ GO W TYM KOLEKTYW W KOMPARTIACH I RAJSOWIETACH.

Tu w Rowieńkach dowiedzieliśmy się, że tutejsza społeczność to karni zesłańcy i ich rodziny, którzy zesłani do syberyjskich łagrów za różne przewinienia, głównie polityczne, za ich niechęć wstępowania do kołchozów, drugą część kary mogli odbywać tu wraz ze swoimi rodzinami. To jednocześnie wyjaśniało, dlaczego Rowieńki jako

miasteczko rejonowe o liczbie mieszkańców ponad 5 tysięcy nie posiada żadnego przystanku kolejowego zwanego „astanowkoj”, no bo stąd nikt nigdzie nie wyjeżdżał ani tu nie przyjeżdżał. Był to po prostu wolnościowy obóz stałego zamieszkania i pracy bez prawa przemieszczania się i dużej politycznej siatki wzajemnych informatorów. Stąd, aby ktoś mógł kiedy, gdziekolwiek pojechać czy też być zatrudnionym w innym zakładzie, wymagana była komandirówka lub udostowierzenie, a takiego tam nikt nie odważyłby się nikomu wydać - świadomy skutków tego czynu. Nielegalnie stąd też nikt rozsądny nie odważyłby się wydostać. W szachtach (kopalniach) pracowało tu wielu jeńców wojennych, Niemców i Rumunów, niemal niepilnowanych i nie uciekali, bo wiedzieli, że się im to nie uda. Przesiedleni z Polski z wygodnych drewnianych domów i samodzielnego dostatniego gospodarowania, swój nowy „raj” ciągle oblewali łzami, a cały swój wysiłek musieli kierować na troskę - jak i czym tu z dnia na dzień przeżyć. Przeklinano, że tak łatwo i naiwnie poddali się agitacjom komisji przesiedleńczych i wojsku oraz, że niekiedy wierzono agitatorom o radzieckim dobrobycie. Gdy czasami usłyszeli ryczący sygnał pociągu, to padały przekleństwa: a ży cię był szlag trafił zanim miałeś nas tu przywieźć. Albo słowa: „Joj Boże, ta już było by nam lepiej żyć w stajni, u najbardziej skąpego Polaka, jak tu na tej kolchozowej wolności”. Muszę tu i teraz zauważyć, że i do tej pory nie znam wypadku, aby ktoś z tamtych terenów, gdzie ja byłem na tym zesłaniu, mógł stamtąd przyjechać do Polski lub na Ukrainę albo, chociaż, do kogo napisał list.

Po rozlokowaniu nas, nadchodziła pierwsza noc, bez żadnego oświetlenia. Kładziemy się na ubitej ziemi z wyścieleniem pod siebie i głowę tym, kto co miał. Zasnęły tylko dzieci a my dorośli przeleżeli i przepłakali, gdyż każdy z nas był już dostatecznie świadom swojej kolei życia. Raniutko uliczne głośniki wzywają nas: „Wnimanie, wnimanie, wsie pryjezdnyje Polaczki, sejczas wozmitie swoje dokumenty i paspory, da zachaditie w Kantoru Selsowieta a patom u kałchoznoj mahazin po pałuczku”. Po spisaniu naszych personalii,

czyli wpisaniu nas do osobowego stanu kolchozu, rozpoczęło się wydawanie nam „pałuczki” czyli zaliczki na konto odpracowania jej w kolchozie dla przeżycia tym przez jeden miesiąc. Dla dzieci wydawano znacznie mniej, natomiast dla każdego dorosłego - już jako kolchoźnika pracującego otrzymywaliśmy: 5 kg mąki kukurydzianej, 2 kg mąki pszennej, 0,5 litra oleju słonecznikowego i 0,5 kg wędzonych szprotok rybnych, których nikt nie brał, bo bardzo śmierdziały. W nowych warunkach bytu, pracy i kultury, rozpoczął się dla nas także nowy tryb odżywiania. Ja z Makuchem wyruszyliśmy w daleki step dla uzbierania suchych badyli. Żony Justyna Makuchowa i Justyna Kielowa ze zbiorowej studni przynieśli wodę a kulawy inwalida Teodor Kielo rozpałił ogień w tym swoim nieocenionym tu żelaznym piecyku. Zagotowana kukurydziana mąka z wodą stanowiła zacierkę do jedzenia nazywaną tu mamałygą. Na deser były tylko słowa „Boże, Boże, czegośmy się doczekali...!” O chlebie nikt z nas już nawet nie marzył. W kilka dni później miejscowe Rosjanki powiedziały naszym kobietom, jak się piecze „pyszczok” i że ta kukurydziana zacierka nazywa się „mamałyga”. Więc po przyniesieniu trochę więcej badyli, nie tylko, że mieliśmy cieplej w domu, ale już mogliśmy na odmianę zjeść ten upieczony zmieszany z mąki kukurydzianej i pszennej „pyszczok”. Dzień drugi. W naszej komnacie ledwie świtało, gdy z ulicznych głośników rozległ się głośny ryk: „Pryjezdnyje Polaczki wchaditie w kolchoz na rabotu”! Odtąd w każdym dniu wszyscy grupami szliśmy pieszo 6 km do kolchozowych zabudowań zwanych chutorami na plac zbiórki, gdzie poszczególnym osobom rozdzielano obowiązki pracy na dany dzień. Każdemu przysługiwał tu „zawtrak” - śniadanie z pół litra mleka i „pajok” - kromka chleba 100 gram wagi, ale tylko pod warunkiem, żeby zdążył na czas, gdy to przydzielają, a więc na godzinę 6 rano moskiewskiego czasu. Każdy kolchoźnik a więc i my „Polaczki” chciał mieć zaliczoną pełną dniówkę obrachunkową, czyli „trudodień”, więc trzeba się było pilnować, aby nie nadszedł bryczką przewodniczący lub brygadir w czasie, gdy myśmy na chwilę przystanąli aby odpocząć. Ja byłem

zaliczany za jednego z najlepszych pracowników, to też dniówki obrachunkowe zawsze zaliczano mi jako 100 %, mimo że moja praca polegała niemal wyłącznie na opowiadaniu „diewoczkom”, o wspaniałym życiu w Polsce, o wyjaśnianiu, dlaczego to w Polsce wszędzie jest Pan Bóg a u nich być nie chce, no i nieomal zawodowo zacząłem wróżyć z kart, w co tam bardzo wierzone.

Przesiedleni z najwyższą przykrością przyjmowali obowiązek pracować także w każdą niedzielę i święta. Formalnie za niedzielę należał się wolny dzień w poniedziałek, zwany tu wychadnoj. Jednak w poniedziałek, tak jak codziennie głośniki wzywały wszystkich wychodzić do pracy w kolchozie, „bo raboty jeszcze mnoga”. Pomimo, że do pracy chodziłem codziennie i wszystkie dniówki obrachunkowe zaliczono w 100 %, to na koniec miesiąca, tak jak też u innych w rozrachunku końcowym okazało się, że moja zapracowana należność za moją pracę pokryła tylko w 80 % wyżej opisaną zaliczkę na jedzenie. A więc od pierwszych dni mojej w pełni wydajnej pracy bezpowrotnie zacząłem się zadłużać niczym dziurawy okręt do zatonięcia. Czuję się bezsilny głównie z powodu, że nie byłem w stanie dostatecznie pomagać inwalidzie Kielowi i jego żonie w nakarmieniu ich dzieci. Codziennie zdobywałem do kieszeni trochę ziarna lub wygniotłem z kłosek pszenicy, przyniosłem im arbuza lub kolby kukurydzy. Wszystko to jednak było dalece nie wystarczające. Dzieci te, szczególnie 5 letnie bliźniaczki coraz częściej płakały z głodu a brzuszki im puchły. Na ulicy Stalina zaintrygowany głośnym lamentem, wszedłem do przydrożnego domku, gdzie ujrzałem klęczącą staruszkę, która modliła się przed obrazem Matki Bożej - ozdobionym wyszywanym ręcznikiem i bardzo płakała. Jej błagalnych słów nigdy nie zapomnę: „Mat moja ja kuszat chaczu. Mat moja, zaczem ty mienia na swet radiła”. Jej później także trochę pomagałem, ale czy mogłem wiele? Ziemia tutejsza to bardzo urodzajne czarnoziemy a ludzie cierpieli niedostatek, gdyż tak na kolchozy jak też na sowchozy nakładano nadzwyczaj wysokie plany obowiązkowych dostaw we wszystkich produktach, a głównie w zbożu. Dla potrzeb kolchozu i

kolchoźników rozdzielano dopiero to, co pozostawało po wykonaniu nałożonego planu dostaw dla „Rodiny” - Państwa oraz odłożeniu rezerwy na nowe siewy. Także nie bez znaczenia było pomaganie pojedynczym osobom władzy w rejonie i bliskim rządzącym kolchozem (mówiono, że nasz przewodniczący kolchozu Franciszek Bieda, lat około 60 własnych dzieci miał 11, a z kochanką w Rowieńkach jeszcze 8. Dniówka obrachunkowa w naszym kolchozie w roku 1945 wyniosła tylko 200 gramów pszenicy.

Bezkresna stepowa równina, szerokie stepowe pola i w tym stepie bez dozoru pasące się duże stada kolchozowych świń i bydła, bujna, nigdy niekoszona trawa i jej suche badyle. W odległości bliższej od kolchozu duże polać jednodobowych upraw - najczęściej zboża, arbuźów i słoneczników. Wszędzie jednolity czarnoziem. Obornikiem tu zwykle naprawiano kolchozowe drogi. Jednak zwykle był on przy każdym domu suszony przez lato na słońcu jako główny opał na ciężką tu zimę. O przydział trochę węgla trudno tu było uprosić a jeszcze trudniej, czym go z kopalni przywieźć. Suszenie obornika na opał wyglądało następująco: zarobiony dniówkami w kolchozie gnój należało przywieźć pod swój dom i starannie długo ugniatać go nogami tak, aby można z niego formować rodzaj cegły, które układano przy domu na kamiennym płocie lub na kamiennych bryłkach, na ziemi, dla wysuszenia go na słońcu. Gdy jesienią rozpoczęto tym obornikiem palić, to przechodnia dusił okropny smród. Przy domach kolchoźnicy posiadali małe ogródki na podstawowe warzywa i kilka wiader swoich ziemniaków. Zwykle siali w nich także kilka metrów kwadratowych pszenicy dla pretekstu otrzymania na nią zaświadczenia dla okazania w młynie, że to swoja własna jako pokrycie skąd ją ma, gdyby udało się trochę ukraść w kolchozie. Niespodziewanie w naszym kolchozie zmarła 42-letnia przodownica pracy. Była osobą zupełnie samotną i bardzo pracowitą, odznaczona kilkoma medalami za wydajną pracę. W dzień i noc ciągle przebywała w kolchozie. Miała na imię Machora. W ostatniej drodze - oczywiście, że bez trumny i ubrana tylko w tym, w czym zawsze chodziła do roboty i spała, towarzyszyły jej więzionej

wołami na „arbie” dwie kołchozne dziewczki - jedna prowadziła woły a druga szła obok arby. Była letnia pora ale obok leżącej zmarłej Machory nie widziałem żadnego kwiatka, a jedynie łopatę szychówkę. Zawieziono ją nie do cerkwi, lecz bezpośrednio na „kładbiszcze”. Nikt jej nie towarzyszył, bo wszyscy inni musieli „rabotać”, aby mieć zaliczone trudodnie. Pewnego razu w tych już „naszych” Rowieńkach wstąpiłem do cerkwi. Służbę Bożą odprawiał prawosławny ksiądz zwany tu popem i modliło się tam wtedy sześć starszych kobiet zwanych babuszkami. Po chwili wstąpiło tu także kilka młodych dziewczek, które podczas nabożeństwa poczęły naśmiewać się z modlących się babuszek, obrazów i popa słowami takimi jak: „smatry kakoj on charoszuj paryń, a kakoj u niewo charoszuj kastium, da kastium oczeń krasiwój. Ty pop, briosy ty jetoj swój tiatr i chadi z nami, my dziewczki oczeń charoszyje, cha, cha, cha”. Z pracy w kołchozie chociaż wszyscy wracaliśmy niemal głodni, to zawsze z pięknym śpiewem. Pod wieczór pod nasz dom codziennie przychodziło kilkadziesiąt dziewczek „pohulat” to znaczy porozmawiać z nimi, powróżyć i pośpiewać. Było to dla nas męczące. Byliśmy, a szczególnie ja, „chałastoj” to znaczy nie żonaty, zapraszani do różnych sąsiadów u hosti, ale z tego nikt nie korzystał głównie dlatego, aby nie wpaść w objęcia spragnionych tu jakiegokolwiek mężczyzny. W każdym bowiem domu żyło tu po 2–3 kobiety, mężczyzn jak na lekarstwo. Niemal w każdym domu posiadali zawiadomienia, że ... pagib w boju... lub za „Rodinu”. Inne domy często różniły się od naszego tym, że widać w nich było męską pracę. Takie pomieszczenie jak nasze zwykle było przedzielone na dwie części : kuchnię i pokój. W takiej kuchni była wybudowana kuchnia piecowa z dużą kamienną bryłą, zwana tu duchówką, która przeważnie służyła także do spania. Stało tu żelazne łóżko służące w dzień do siedzenia oraz stolik. Ta skromna całość służyła do użytkowania w dzień i w nocy. Żadnych mebli, krzeseł i tym podobnych tu nie widziałem. Małe 2 okienka, jedno w kuchni a drugie w pokoju. W pokoju, który zazwyczaj nigdy i nikt nie używał - służył dla parady i na pokaz piękna i czystości, wisiały na ścianach

różne ozdoby, obrazki i fotografie. Domeną bogactwa i parady w pokoju było zawsze pięknie zasłane łóżko, na którym leżały starannie ułożone jedna na drugiej 2 lub 3 wyszywane poduszki. Małe dzieci zwyczajnie tak jak bawiły się w dzień, tak też najczęściej tu pod ścianą nocowały zwyczajnie bose i tylko w starej kufajce z podwiniętymi w niej pod siebie nóżkami i ... nie chorowały. Przesiedleńcy z Polski często chorowali i musieli chodzić do wracza czyli lekarza. Był to okres po hitlerowskiej okupacji i występował tam zupełny brak papieru. Warunkiem przyjęcia przez wracza było posiadanie przez chorego pacjenta chociażby małej szczypty papieru, na którym wracz zapisywał dla apteki nazwę przypisanego choremu lekarstwa. Leków jednak przeważnie nie brakowało i były choremu wydawane bezpłatnie. Chorował tu jednak tylko ten kto musiał, aby nie tracić cennych dla przeżycia trudodni, bo za chorowanie nie płacono, co kwitowano zwyczajowym powiedzeniem „kto nie rabotajet, etoj nie kuszajet”. Wspomnę jeszcze dłaczego nigdy nie korzystałem z żadnego zaproszenia, a było to tak... Pewnego razu w południe dałem się zaprosić przez dwie miłe dziewczki, Ninę lat 21 i Szuroczkę lat 17 do niedalekiego sąsiedztwa „u hosti”. Siedzieliśmy w kuchni na żelaznym łóżku, one po bokach a ja w środku. Mama Niny kręciła się po kuchni, co chwila wychodząc i wchodząc. W pewnym momencie ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu i zawstydzeniu, Nina nagle podniosła swoją „jupkę” - sukienkę i energicznym ruchem usiłowała mnie wciągnąć na swoje nagie podudzia. Na ten moment z pola do kuchni weszła jej matka i powiedziała „Dawaj, dawaj, lubi jej, nie pugajsia”. Szuroczka w tym czasie usiłowała przytrzymać mnie za rękę. Jak się z między nich wyrwałem, to już nigdy i do nikogo „u hosti” się nie wybrałem.

**BYŁY PARTYZANT ANTYHITLEROWSKIEGO RUCHU
OPORU PROSIŁ NIEMIECKIEGO JEŃCA
WOJENNEGO
O CHLEB!**

Przypadek sprawił, że zapoznałem się z roweńskimi „żulikami”, którzy nauczyli mnie jak garściami kuszat siemuszku - ziarnka słonecznika, bez pomocy rąk. W rozmowie wspomniałem, że już od 3-ch miesięcy nie jadłem chleba. Bez żadnego wyjaśnienia kazali mi iść ze sobą w nocy w step po chleb. Po kilku kilometrach zalegliśmy w trawie i na kogoś długo czekali. Dopiero, gdy było słychać i widać, że zbliża się do nas duża grupa ludzi konwojowana przez dwóch żołdatów, która rozmawiała po niemiecku, wtedy kazano mi prosić tych plennych germańców o chleb, bo oni otrzymują go pod dostatkiem za rabotu w szachtach. Prosiłem „Her soldat, gimmi broth” i każdorazowo otrzymywaliśmy po kilka ćwiartek bochenka chleba, mimo że konwojenci nas odpędzali. Jednego razu zamiast Niemców prowadzono plennych Rumunów. Nie wiem dlaczego, ale Rumunów prosić mi nie pozwolono. Było mi bardzo przykro, że ja były partyzant antyhitlerowskiego ruchu oporu, a tym samym żołnierz zwycięskiego bloku, który powinien być zupełnie wolnym, darzony szacunkiem i możliwym dobrobytem dostatniego życia, zmuszony byłem prosić hitlerowskiego jeńca o łaskawy od niego kawałek chleba. Bardzo mi ciężko było znosić taką polsko-radziecką zapłatę i jedynie za to, że nie urodziłem się rdzennym Polakiem mimo, że na swojej prajcowskiej ziemi i w swoim rodzinnym domu, skąd bez żadnych win i z licznymi medalami frontowymi na piersiach, bandycko mnie wywłaszczono i deportowano na karną kolonię donbaskich stepów. Innym razem, gdy zabrakło nam siemuszki, komandir żulików, Kola przyniósł 5 worków i powiedział: „Polaczok dawaj z nami, idiom na padsonuchy –

słoneczniki”. Wyłamać się z koleżeńskiej solidarności było niedopuszczalnym a nawet niebezpiecznym. Nocną, stepową ciszę zakłócił szum ścinanych i ładowanych do worków podeschniętych słoneczników. Było już po północy. Nagle podjechała bryczka z przewodniczącym kolchozu Biedą, który zaczął krzyczeć „O, mam was złodziejaszki!”. Zamierzałem uciekać, gdyż Biedę poznałem po głosie, a on mógł mnie też poznać. Kola jednak z kolegami z pełnymi workami podchodzą do bryczki i pochycili Biedę i jego furmana. Obydwom związano ręce i nogi. Biedę ułożono w poprzek z głową i nogami częściowo zwisającymi i przywalono go workami. Stękając i wzywając Boga, Bieda dojechał do Rowieniok, na sąsiednią ulicę Woroszyłowa. Tu towar zdjęliśmy i Kola powiedział: „Spasiba wam towarzysz gołowa” i krzyknął na konie, które galopem pognały dalej. Wieczorami zwykle pod nasz dom przychodziła gromada dziewczok, często bardzo urodziwych krasawic i około północy ze śpiewem się rozchodziły. Pewnego razu, późno po północy nastąpiło pukanie do okna. Dwie obce z kwiatami w ręku nie ustąpiły, dopóki nie wyszedłem na chwilę do nich pogawarit. Była to komendantka służb wartowniczych z Projezwodstwa „Zahotzierna” i jej koleżanka - komandir zmiany wart zbrojnych. W rezultacie tej rozmowy zgodziłem się podać im moje personalne dane i podpisałem gotową prośbę o przeniesienie mnie z członka kolchozu do pracy w ich przedsiębiorstwie, abym za ich słowami „z biedy nie głodował”. Spryciary potrafiły na takie przeniesienie mnie wymóc zgodę u Biedy w Rajkpartii. Po trzech dniach już byłem raboczym w Zahotziernie o najwyższym wynagrodzeniu 180 rublej miesięcznie. Otrzymałem też talony na codzienny przydział 0,5 kg chleba za odpłatnością po 50 kopiejek. Zahotzierno był dużym zakładem, do którego z kilku rejonów wszystkie kolchozy i sowchozy zdawały zboże dla Sowietskawo Sojuza, a jednocześnie przerabiały to zboże na mąkę, krupy i pęcaki. Tak gotowe produkty stąd codziennie wysyłano w 3–5 pełnoskładowych pociągach. Załadunek i przesuwanie tych wagonów wyłącznie siłą ludzkich rąk należało wyłącznie do obowiązków kobiet. Mnie niekiedy

przydzielano do przegarniania łopatom zaparzonego ziarna, które w ogromnych pryzmach leżało pod gołym niebem bez żadnego przykrycia i ulegało samozaparzeniu zwłaszcza po deszczu. Po 8 godzinach pracy wychodząc do domu, codziennie w kieszeniach wynosiłem po około 2 kg pszenicy lub pęczaków. Już na sąsiedniej ulicy zawsze witała mnie gromadka dzieci z okrzykami „Polaczok idiot, chlebcio niesiot”. Sobie nie zawsze udało się kromkę zostawić, bo obdzielanie tym kawałkiem chleba do tego czasu zaliczam do najtrudniejszych tam moich przeżyć.

ZDARZAŁO SIĘ, ŻE BYWALI DOBRZY TAKŻE I ...ENKAWUDYŚCI

Wiele opisałem z mojego życia na tej Donbaskiej kolonii karnej, ale nie wszystko co tam widziałem i przeżywałem razem z innymi, jeszcze i dziś nie nadaje się do wolnego komentowania. W czasie mojego tam pobytu za kradzież żywności stosowano drakońskie kary, na przykład za kradzież 1kg zboża można było być skazanym na jeden rok syberyjskich łagrów. Jednak, aby żyć to kradł chyba każdy i nikt za to nie siedział. Zupełnie inaczej, bo nietolerancyjnie traktowano sprawy niełojalności politycznej. Pewnego razu w miejscu mojej pracy Zahotzierno komendantka ochrony zakładu powiedziała do mnie, że dziewczynki czyli strażniczki te z karabinami, przygotowały dla mnie worek pęczaków (50 kg), które najlepiej byłoby wynieść teraz w południe przez bramę główną, a później się podzielimy. Zarzuciłem worek na plecy, strażniczki dały znak, że teraz można i już byłem na ulicy. W połowie, w poprzek przechodzonej jezdni usłyszałem głośny krzyk „wor pastoj” - złodziej stój! Zobaczyłem w odległości około 70 metrów biegnących w moim kierunku dwóch umundurowanych enkawudzistów z pistoletami w rękach. Zdażyłem dopaść do zniszczonego bombami po przeciwnej stronie budynku i wraz z

workiem wcisnąć się tam pod schody. Tuż za mną z okrzykami „wor wychadi”, wskoczyli tam za mną obydwaj. Pod tymi schodami nie mogłem się zmieścić i wystawały moje nogi. To enkawudzista swoją nogą usiłował mi je wepchnąć dalej a jednocześnie głośno krzychał: „kuda ten złodziej, na pewno uciekł j... jego mać”. Jeden z nich odchodząc pochylił się i pogroził mi palcem. Ich rozmowa ze strażniczkami skończyła się na poczęstowaniu ich przez strażniczki zwykłą zakurką machorki.

NA KOLCHOZOWYM WSCHODZIE

/po łemkowsku/

Забрано мі дітинство
Любов місяця народження
Виривають ридну пам'ят
Для національного знищення

Дітьом нашим намітують
Колхозну натуру
Як мають там красти
Аби з голоду не впасти

Насьміваються з Бога
І з християнської Руси
Залишки нашої віри

Укривати мусиш

І дармо нам згадувати
Як давнійше в Карпатах
Дзвони нам дзвонили
А ми богобійно до церкви ходили

Замість Господу Богу
Сталінови біла хвала
За знищення народив
Же їх віра пропадала

Залишилося ЛЕМ кориня
Лемківського походжіння
Знаньом правди його підсиляти
Аби могло одрастати.

I. Ф.

MARZENIA O POWROTACH

Przesiedleńcy z Polski nie mogli zrozumieć i nie mieli kogo zapytać, za jakie to przewinienia ich tu zesłano? Stąd próba powrotu czy ucieczki nawet w marzeniach była nierealna. Bez stosownych, a więc specjalnych dokumentów nikt stąd nie próbował się oddalić. Penetracja terenu była tu szczelna. Stąd żadnej repatriacji Polaków nie było. Ponadto niekorzystnie wyróżniałem się ubiorem. To, w czym przywieziono mnie z Polski, rozlażło się na mnie jeszcze w kołchozie. Ukradłem wtedy trzy worki, z których na sąsiedniej ulicy Żyd pochodzący z Tarnowa, uszył mi z nich ubranie sportowego fasonu, które bardzo utrudniało mi życie i otrzymałem przydomek „polskawo burzuja” a zdobycie chociażby jakiej podartej kufajki było niemożliwe. Pomimo tego postanowiłem uciekać do Polski, niestety, bez powodzenia. Duża stacja rozdzielcza Jasynowataja, uchodziła za strefę zupełnie nieprzepuszczalną. Przekonałem się o tym tak, że nie życzyłbym nikomu. Przy kolejnej próbie cały zagrzebałem się w wagonie z węglem z pudełkiem na głowie i rurką trzciny dla oddychania. Wystająca końcówka tej rurki spowodowała wykrzyk mnie. Wojskowy kapitan prosił enkawudystę, aby mnie puścił ale bez skutku. Uciekałem zygzakiem, a strzały okazały się niecelne. Cały czas bardzo mi przydatną była dobra znajomość rosyjskiej mowy i akcentu więc dzięki temu w dwa dni później przez stację kolejową Jasynowataja przejechałem w wagonie z wojskiem jako pomoc kuchenna. W dalszej podróży spotkało mnie jeszcze wiele przykrych przygód, aż wreszcie po trzech tygodniach dotarłem do Lwowa. Trudno nie wspomnieć, że na wielu stacjach kolejowych Ukrainy przez szpary z wagonu widziałem grupy ludzi w łemkowskich ubiorach, a najwięcej na stacji w Kijowie,

gdzie w tłumie na peronie rozpoznałem moich sąsiadów z Myscowy Annę, Nastę i Teodora Wańkowych. Dotąd w Myscowej byli oni bogatymi gospodarzami, a tu teraz z małymi brudnymi zawiniątkami w rękach i noworodkiem koczowali na peronach kolejowych, byleby dostać się z powrotem w kierunku Polski. Miasto Tarnopol widziałem w gruzach, pod którymi czasami dostrzegano tam mieszkających ludzi. Na stacji w Tarnopolu, gdzie bardzo dużo Polaków czekało na podstawienie im wagonów dla repatriacyjnego załadunku, jakaś Polka, gdy zorientowała się, że uciekam z „raju” chciała poczęstować mnie mlekiem i chlebem. Zdażyłem jedynie na to spojrzeć i serwować się ucieczką, gdyż zbliżał się patrol NKWD. Dopiero na bazarze we Lwowie kupiłem sobie i zjadłem makaron z ... ciepłym mlekiem. Ze Lwowa aż do domu szedłem tylko na nogach. Tą ciężką i jeszcze dzisiaj przykrą do odtwarzania w pamięci moją „podróż” wolę nie wspominać i dodam, że tylko kot i człowiek potrafi wytrzymać i znieść najwięcej. Idąc w kierunku granicy stroniłem od ludzi, osiedli i domów a mimo tego pod Chyrowem zostałem zatrzymany i aresztowany. Bicie mnie przeplatano pytaniami, abym się przyznał czyim jestem szpiegiem, germańskim czy amerykańskim? Skatowanemu w nocy jakiś starszyna pomógł wstać, podał kubek wody i kromkę chleba, pokazując w którym kierunku mogę uciekać. Trudno było uwierzyć, że nie jest to podstęp. Jednak byłem wolny. Dowlokłem się tylko do jakiegoś cmentarza i tu zupełnie bezpieczny od ludności cywilnej i gęsto naszpikowanym wojskiem i jego patrolami. Nad wsią Ustianowa w chałupie na brzegu dostrzegłem starszą po miejsku ubraną kobietę. Po dłuższym obserwowaniu zdecydowałem się podejść, poprosić o kromkę chleba i zapytać ją o granicę. Od razu zapytała mnie o pieniądze. Miałem nawet dość dużo więc dałem jej wszystkie około 4 tysiące rubli. Kazała mi czekać w krzakach, dopóki się nie ściemni i około 21-ej przejdą zmiany granicznej warty. O chlebie nawet nie wspomniała. Po przejściu zmian warty wyszła do mnie i powiedziała, że granica będzie tam, gdzie zobaczę oraną skibę i białe słupki. Odprowadziła mnie od domu około 100 metrów i rzekła: „idź sobie”.

„Jak to?” - odpowiedziałem zdziwiony, miała mnie pani doprowadzić do granicy, przecież dałem pani 4 tysiące rubli. A ona na to, co mam obudzić żołdatów? Bardzo głodny długo jeszcze szedłem nim dotarłem do białych słupków ale nie wyoranej skiby. Noc była bardzo widna a ja nie byłem pewien czy jestem już po polskiej stronie. Las był blisko drogi, po której co jakiś czas przechodziły kilkunastoosobowe uzbrojone grupy ludzi. Za tą drogą był potok a nad nim kładka, która prowadziła do pięciu gospodarczych zabudowań. Zdecydowałem się podejść. Było chyba już po północy, bo panowała tu zupełna cisza i nigdzie się nie świeciło. Podchodząc do najbliższego domu, za oknem w ciemności dostrzegłem ludzkie twarze i jakieś poruszenie. Nie wiem, czy jestem już po polskiej stronie czy sowieckiej, więc zdecydowałem się rozmawiać tylko po rosyjsku. Pukam do drzwi, do okna ale daremnie. Otworzono mi dopiero w piątym domu. W sieni natychmiast obskoczyło mnie pięciu mężczyzn z siekierą i nożami w rękach i ostrym pytaniem, ilu nas jest i po co przychodzimy? Moje zaprzeczenie kończy się dokładnym obmacaniem mnie i spoglądaniem w okno, czy nie ma nas więcej. Wreszcie mi uwierzono. Bez zapalania lampy zaraz rozpalono w piecu i wnet dostałem do cebrzyka gorącą wodę, aby wymoczyć nogi, a na stół do jedzenia dużo gorącego mleka, chleb i masło. Tu dowiedziałem się, że jestem już w Polsce, i że tutaj teraz w dzień jest Polska a w nocy Ukraina. Ludność tu jest mieszana z przewagą Ukraińców i że w tym domu oni są rodziną ukraińską, a ten z wąsami to ich zięć Polak. Ludzie tu nie chcą nikomu otwierać drzwi, bo się boją nie tyle polskiego wojska czy UPA, co zwykłych złodziei jak też milicji. Przespany, trochę wypoczęty i ze świeżo owiniętymi nogami, a także z chlebem i serem na drogę oraz kartką w kieszeni jak i któreś mam iść, opierając się o kij szedłem dalej na zachód.

W UKRAIŃSKIEJ POWSTAŃCZEJ ARMII

Rzekę San przepłynąłem 27 listopada 1945 roku. Jeszcze bezśnieżne słoneczne południe i wymuszona gimnastyka niewiele pomagały dygocącej szczęce i drzeniu. Trudno było uwierzyć, że tego nie odchorowałem. Długo siedłem środkiem lasów, unikając wolnych prześwitów, aby nie wpaść komuś w ręce. Nie zawsze było to możliwe. Pewnego razu ledwie zdążyłem się ukryć. Do pobliskiej wsi jechało 5 drabiniastych wozów z wojskiem. Na ten widok we wsi słyhać było różne krzyki i nawoływania. Grupa ludzi - mężczyzn, kobiet i dzieci, uciekała w kierunku zarośli a jednocześnie wojsko zeskakiwało z wozów i rozpoczęło strzelać w ich kierunku i zabudowań. Przeraziłwe krzyki, jęki i palące się chałupy zagłuszały rzenie koni, ryk bydła i wycie psów. Później dowiedziałem się, że tą wioską była Berezka nad obecnym zalewem solińskim. Kilka wsi dalej zostałem zatrzymany przez dwóch ludzi w mundurach stalowego koloru i odznakami trzybura na czapkach - szeregowego i kaprała. W pobliżu, przy chałupie krytej słomą z białomalowanymi ścianami, na ławeczce pięknie grało na różnych instrumentach czterech oficerów. Ci, którzy mnie zatrzymali i obmacali, widząc, że moje nogi bez obuwia a tylko owinięte szmatami, poczęli mnie bić, abym się przyznał, kto mi tak kazał udawać i kto mnie tam przysłał, NKWD czy polskie UB? Po pierwszych uderzeniach nie mogłem wstać. Kazano mi rozwijać na nogach szmaty i od razu mówić, co mam w nich schowane i dla kogo. Polecenia tego nie byłem w stanie wykonać ani też wstać. Wtedy jeden z nich rozerznął mi te szmaty na nogach scyzorykiem. Gdy ujrzał moje bąble na nogach i ropiejące rany, to aż krzyknął „O, Isuse” - O Jezusie! Wtedy już opuszczono karabiny i pytano, skąd jestem i jak się tu dostałem. Mówiłem prawdę. Kapral zaraz wysłał szeregowca do wsi po nosze

i dwóch strzelców, a sam podniósł wysoko rękę. Muzykanci przestali grać. Wtedy on krzyknął do tych oficerów po polsku: „Poruczniku Zygmunt, niech pan tu pozwoli, bo tu jest człowiek z pańskich stron”. Wtedy jeden z oficerów wstał, odłożył gitarę i przyszedł. Przyjrzał mi się uważnie, spojrzał na moje ropiejące nogi, gwizdnął i pokręcił głową. Był w stopniu podporucznika i w nowiutkim polskim mundurze, w rogatywce z orłem w koronie i TT-ką u pasa. Pierwsze jego słowa, to czy ja go poznaję? Zaprzeczyłem. Pytanie powtarzał i nalegał. Wiedziałem, że potwierdzenie takie w partyzanckich zasadach może oznaczać wydanie na siebie wyroku. Dopiero na czwarte pytanie „no przyjrzyj mi się i przypomnij sobie”, odpowiedziałem, że może gdzieś kiedyś pana widziałem, ale nie wiem czy na pewno i gdzie mogłoby to być? Poklepał mnie po ramieniu i powiedział: Zuch jesteś, dziękuję! Oczywiście, że poznałem go od razu, bo był czas w 1944 roku, że myśmy przez kilka dni razem obydwał jedli i spali, gdy groziła nam hitlerowska oblawa. Wtedy był sierżantem w 5 pułku strzelców podhalańskich Armii Krajowej. Po chwili nadeszli trzej pozostali oficerowie w mundurach i odznakach UPA. Dwaj z nich mi nie znani, natomiast trzeci objął mnie serdecznie i brudnego ucałował. Był to były policjant z ukraińskiego posterunku w Krempej, któremu podczas okupacji wiele mogła zawdzięczać zarówno wieś, jak też nasz antyhitlerowski ruch oporu. Znał mnie bardzo dobrze z Myscowy i z Krempej. On to Ilko Hryckowian pomagał wtyczce podziemia - sekretarzowi posterunku policji w Krempej Stefanowi Romcio w dostarczaniu dla partyzantów amunicji i uprzedzaniu o niemieckich akcjach i aresztowaniach przez punkty kontaktowe w Myscowej u Jana Sardygi i Maksyma Posypanko. Z polecenia tegoż Zygmunta i Hryckowiana zaniesiono mnie na noszach do sołtysa i starannie się mną zaopiekowano. Zygmunt powiedział do mnie, że tam będzie jeszcze bardzo „gorąco”, więc ty pójdziesz ze mną do miasta i będziesz mi pomagał, a na razie tu wydobrzej.

Zrozumiałem, że Zygmunt będzie chciał się mnie pozbyć jako niewygodnego z przeszłości. Upewniło mnie w tym także to, że mimo

troskliwego zaopiekowania się mną, nie kto inny jak on, ten właśnie Zygmunt postawił przy mnie warte wewnątrz w kuchni i na zewnątrz pod oknem mojej sypialni. Spowodowało to dalszą moją ucieczkę, byleby bliżej w kierunku mojej wsi Myscowa. Ponownie trzymałem się leśnej gęstwiny z dala od pól i wolnych przestrzeni. W Surowicznych Polanach spotkłem Mikołaja Sztelmę. Był w stopniu kaprała UPA. Prosił, aby pozdrowić od niego Pajzę. Dotarłem wreszcie do Tylawy, gdzie gospodyni o urwanej na minie nodze, poczęstowała mnie jedzeniem - ziemniakami i kompotem z suszonych jabłek. Do dzisiaj nie wiem, na jakich zasadach ten Zygmunt był w UPA i miał tam realny posłuch. W omawianym około dwuosobowym oddziale zwracano się do niego po polsku. Natomiast ta gościnną inwalidka w Tylawie radziła mi pozostać u niej albo u kogo innego, aby nie iść do swojej wsi, bo tam buszują bandy rabunkowe i naszych ludzi rabują, biją a nawet zabijają. Wymieniała przy tym znane mi nazwiska skrzywdzonych przez bandy mieszkańców: Czupińskiego, Fedaków, Buriaków, Herejczaków, Chawykową, Tofila i Pilchów. Mimo tej przestrogi, nic już nie mogło mnie powstrzymać. Jeszcze w kolchozie podobnie jak inni, dniami i nocami marzyłem o tym, aby wrócić. Wiedziałem już, że we wsi pozostały tylko dwie lemkowski rodziny, a reszta to osadnicy. Dawniej żyliśmy z nimi w jak najlepszej zgodzie, a teraz nie wiem jak się wobec mnie zachowają i czy ktoś z nich nie zechce zgłosić, że uciekłem?

Pierwszym domem w mojej wsi był dom cerkwnika (kościelnego) Andrzeja Słabczaka i jego syna Piotra. Z trudem dotarłem tu późnym wieczorem i ... nie do uwierzenia! Myślałem, że przenocuję tu w stodole, bo byłem brudny i zawszony. Tymczasem Andrzej Słabczak, jak też jego syn Piotr nie wpuścili mnie ani za próg, ani też nie zapytali czy nie jestem głodny. Kazali mi natychmiast szybko uciekać od ich domu, bo tu może się zjawić wojsko albo milicja, co to szuka takich co z Rosji uciekają. Jakoś się jeszcze powlokłem, ale niedaleko, bo teraz opuściły mnie nie tylko ostatnie siły, ale też i wola życia. Usiadłem nad potoczkiem, gdzie do niedawna mój stryjek Andrzej Fudżak miał

tartak, młyn, dom i stodołę, a teraz tu tylko zgliszcza i wiatr z lekka gra, jakby z szumem potoku rozmawiał. I wtedy sam nie wiem czemu przypomniały mi się słowa głodnej, rosyjskiej babuszki z Rowieniok „Mat moja, zacznem ty mienia na swiet rodila?” To znów słowa ukraińskiego poety Tarasa Szewczenki „Swoji lude mow czuziji” i pomyślałem z wielkim żalem „Boże mój wszechmogący zmiłuj się, bo mnie ridne seło ne pryjmuje!”

Tu niedaleko stąd byłem ranny przy przekraczaniu z bojowym zadaniem linii frontu. Drugi raz ciężko ranny w Powstaniu Słowackim i wtedy nawet nie zapłakałem, a teraz łzy same się toczyły. Wtedy było mi już obojętne na kogo się natknę i tak zrezygnowany, skrajnie zmęczony i głodny zapukałem do następnego domu. Mieszkała w nim osadniczka z Iwli Zofia Muchowa. Nieszczęśliwa to była kobieta i zupełnie samotna. Męża miała we Francji. Po wojnie przyjechał, ale jak zobaczył, że żona już się postarzała, to poszukał sobie młodszą i więcej się nie pokazał, ani nic jej nie pomagał mimo, że była inwalidką bez nogi. Zapukałem. Rozpoznała mnie po głosie. Narobiła krzyku z radości „Olaboga Świętego, Janek z Rosji”. Nagrzała wody, jedzenia i spanie przez siłę w jej łóżku, a ona na podłodze. Nie pomógł mój opór i twierdzenie, że jestem zawszony i bardzo brudny. Musiałem się ukrywać przed deportacją, bo na zlecenie władz sowieckich byłem przez dłuższy czas poszukiwany w powiatach Jasło i Krosno. Pomogli mi w tym rodzina Nestoriaków: Ołena, Maria i Tańka - obecnie po mężu Bowanko, a także komendant posterunku Milicji Obywatelskiej w Krempnej, chorąży Kurczab oraz Trznadlowie i Gomółkowie w Krośnie, gdzie przynależałem do partyzantki.

W UKRAIŃSKIM TOWARZYSTWIE SPOŁECZNO – KULTURALNYM

Jako 15-letni chłopiec i jeden z ośmiu takich w moim wieku, przynależałem do antyhitlerowskiej czysto łemkowskiej partyzantki „Borci za swobodę”. Działaliśmy w Beskidzie Niskim i braliśmy udział w Słowackim Powstaniu Narodowym. Pamiętałem słowa mojego ojca tak, że mimo ciężkiej pofrontowej sytuacji, nawet nie dopuszczałem myśli, aby przesiedlić się na wschód, aż do czasu, kiedy to w miesiącu kwietniu 1945 roku do mojej wsi Myscowa na dwóch ciężarowych autach przyjechał połączony gorlicko-jasielski Urząd Bezpieczeństwa mając na wykazie zapisane także moje nazwisko. Aresztowano mnie i Jurka Baligrodzkiego syna Łukasza, w ten sposób, że włożono nam do kieszeni po dwa naboje i ze związanymi rękami postawiono nas przed 3-osobowym plutonem egzekucyjnym do rozstrzelania jako pochwyconych banderowców. Odczytano nam odręcznie napisany wyrok śmierci i podano rozkaz – ładuj broń! W ostatniej chwili z krzykiem nadbiegł wtedy sołtys wsi - osadnik Józef Zagórski, który ręką za naszą niewinność, spowodował nasze uwolnienie. W grupie tych umundurowanych i uzbrojonych ubowców byli również ubowcy łemkowie, z którymi i dziś przychodzi mi się spotykać i to jako działaczami....!!! Kiedy w wyniku interwencji sołtysa nas zwolniono, wtedy usłyszałem głos środkowego członka egzekucyjnego plutonu a znanego mi AK-owca Czesława Szymańskiego ze wsi Draganowa: „Obywatelu poruczniku, a ten młody współpracował z AK jako łącznik”. Aresztowanego i bitego kolbami, odstawiono mnie do Jasła a następnie odkonwojowano do Chyrowa. Dołączono mnie do transportu przesiedlanych i odtransportowano do pracy w kołchozowych stepach 70 km za Woroszyłogradem. Życie tam nie

było lepsze od bytowania w łagrach. Zarobek za pełną dniówkę obrachunkową wynosił tylko 200 gramów pszenicy. Po wielu przykrych przygodach, kolejno trzecia ucieczka zakończyła się szczęśliwie. Ze Lwowa idąc już tylko piechotą i bez żadnego obuwia z nogami poowijanymi tylko szmatami, rzekę San przepłynąłem 27 listopada 1945 roku. Nikt tam nie wpuścił dygocącego z zimna do chaty, bo ludzie się bali. W dzień była tam wtedy Polska, a w nocy Ukraina. Długo ukrywałem się u Polaków: Kopacza w Trzynicy i Gomólków w Krośnie. W maju 1947 roku dobrowolnie dołączyłem do wysiedlanych. Posiadałem dokumenty z naszej łemkowskiej partyzantki. Nikt ich nie honorował, a nawet doradzono mi ich nie okazywać, bo to jest teraz niepotrzebne. Dodano także - teraz jest czas, że potrzebny jest tylko ukraiński nacjonalista i bandyta do tworzenia podstawy wysiedlenia. O, tak, o udziale w powstaniu słowackim, jako żeście byli i są obywatelem Polski, trzeba mówić i wam może być pomocne - słowa Franciszka Serafina. Jego poręczeniu zawdzięczam, że mogłem pomagać innym i być zatrudnionym w charakterze sekretarza gminy Księgienice i wnet awansować na inspektora organizacyjno-rolnego Powiatowego Zarządu Związku Samopomocy Chłopskiej w Lubinie Legnickim. Pomogłem wielu np. porucznikowi Falowi, Herejczakowi i innym, także aresztowemu Stefanowi Romcio, który dzięki mojemu potwierdzeniu, że jako działacz b. KPP i KPZU, a z obowiązku podziemia jako siczownik i sekretarz ukraińskiego posterunku w Krempej pomagał naszej partyzantce i ludności. Nie tylko. Dzięki temu mojemu stwierdzeniu odzyskał wolność, ale został zatrudniony i pracował do emerytury w charakterze głównego księgowego w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Lubinie Legnickim. Ze służby wojskowej jako kontuzjowany po wypadku z 30 % utratą zdrowia. Należnej mi z tego tytułu renty i odszkodowania nie otrzymałem do dzisiaj. Na przeszkodzie w tym stanęło typowo wschodnie nazwisko rodowe mojej mamy i jej imię Ksenia. Na komisji inwalidzkiej lekarz-orzecznik zauważyła głośno słowami: „To nie dość, że różniście Polaków,

zabiliście nam generała, to jeszcze macie czelność ubiegać się o rentę?” Przyjąłem to jak przykry żart. Jednak otrzymałem odmowę, którą następne komisje i sąd tylko utwierdzały. Jeszcze raz więc mogłem przekonać się praktycznie, co w Polsce oznacza urodzić się niepełnordzennym Polakiem. I właśnie to przyczyniło się, że od tego czasu z pełnym poświęceniem stałem się łemkowskim działaczem, a jednocześnie spragnionym dociekania prawdy o Ukrainie, Ukraińcach i wszystkich przesiedlonych. Dzisiaj z oddali czasu, działania moje jak na tamte dni, uznaję za zbyt śmiało i ryzykowne, choć wsparte atutem mojego udziału w Słowackim Powstaniu Narodowym, co bez wątplenia częściowo mnie chroniło. Zaletą było także to, że działałem samotnie pomimo, że często publicznie. Zostałem zatrudniony jako inspektor Ministerstwa Skupu i Kontraktacji na powiat Lubiń, byłem członkiem wojewódzkiego Zespołu Gospodarczego we Wrocławiu, a także zastępcą przewodniczącego Okręgowej Komisji Wyborczej na powiat Lubiń. Dzięki temu udało mi się aż w siedmiu gminach spośród wszystkich dziewięciu w powiecie, stanowiska sekretarzy i referentów gminnych obsadzić Łemkami (Rynarce, Rudna miasto, Parchów, Miłosna, Zimna Woda - Pelak Jan, Kowalska Maria, Feleńczak Jan, Kuziak Teodor, Gubernat i inni). Przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Chocianowie był Łemko Jaworski, gminnej w Zimnej Wodzie Łemko Prokip Kuziak. Sekretarką w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Lubinie była Maria Kawoczka. W centrali mięsnej w Lubinie najbardziej cenionym pracownikiem był Łemko z Łabowej Grzegorz Wisłocki, a kierownikiem działu Skupu i Kontraktacji w Gminnej Spółdzielni w Lubinie był wyjątkowo oddany działacz społeczny, Łemko z Korolyka Wołoskoho Michał Kuchta, na którym zawsze można było polegać. Był on dla mnie najlepszym doradcą. Michał Romaniak z Michałowa, a rodem z Florynki, samorzutnie jako pierwszy w powiecie i okolicy na kilka lat przed powstaniem UTSK, prowadził w szkołach i to bezpłatnie nauczanie dzieci ukraińskiego języka. Działalność ta miała ogromny wpływ na ludzi w sąsiednich powiatach, a zwłaszcza w

legnickim, złotoryjskim, wołowskim, głogowskim, szprotawskim i nie tylko. Jednak zasadnicze zasługi należy przyznać prawosławnemu księdzu z Bartnego, Janowi Lewiarzowi. Ksiądz ten traktowany początkowo z dużą rezerwą z tej przyczyny, że chociaż z Bartnego nikt nie przynależał do UPA ani do żadnej innej organizacji, to jednak ze wsi ponad 20 ludzi i grekokatolicki ksiądz zostali zesłani do polskich łagrów w Jaworznie, a jeden z nich Michał Gbur tam zginął. Teraz nieufność wobec Lewiarza jakby zanikała, gdyż on jako rodowity Polak nie musiał, to jednak przesiedlił się ze swoimi parafianami z Bartnego do Zimnej Wody w powiecie Lubiń Legnicki i tu na ziemiach ponemieckich dość śmiało rozpoczął organizowanie w dawnych „kirchach” prawosławnych parafii. W tym czasie miało to ogromne znaczenie, gdyż ludność tu przesiedlona po ciężkich przeżyciach i doznanych krzywdach, była przestraszona, posądzana i inwigilowana. W dodatku różniła się swoim łemkowskim ubiorem i nieznaną polskiej mowy. W tym to czasie ksiądz Lewiarz na starym rowerze lub pieszo chodził od wsi do wsi i nawoływał: „Lude, prychodte do cerkwy, ne bijte sia. Za wamy stoit Boh i prawo, prychodte śmiło, a jakby wam dachto pereszkadżaw, to mi zhołoste. Ja jest członem Świtowej Rady Pokoju, to wam pomożu”. I chociaż była o Lewiarzu znana jeszcze i inna prawda, zwłaszcza o jego specjalnym interesowaniu się wszystkimi działaczami, tak łemkowskimi jak i ukraińskimi, to jednak należy docenić jego wielkie zasługi w otwieraniu cerkwi na nowych miejscach osiedlenia oraz umiejętność skupiania ludzi, a między innymi w Zimnej Wodzie, Rudnej, Lubinie, Studzionkach, Michałowie, czy też później w Sanoku, Komańczy, Zagórze, Morochowie, Pielgrzymce, Bartnym, Polanach, Zydranowej, Żdyni, Wysowej, Hańczowej, Regietowie, Wapiennym i innych. Tu jednak zastrzegam się brakiem wiedzy, które to cerkwie na Podkarpaciu zostały otwarte staraniem ks. Lewiarza, ks. Krysiaka, a które staraniem ks. Arcybiskupa Adama. Arcybiskup Adam jeszcze jako proboszcz rozpoczął tu duszpasterskie obowiązki w wyjątkowo trudnych czasach i niesprzyjających, ciężkich warunkach, rozpoczynając od Komańczy,

Kalnikowa i Sanoka. Nadzwyczajne znaczenie miały wtedy pierwsze przejawy działalności społecznej w wyniku skupiania się przy cerkwiach nowego aktywu społecznego. W tamtym okresie trzeba było nie lada odwagi i ryzykownego poświęcenia, aby dokonać tego, co potrafili dla skrzywdzonego, zastraszonego, poniżanego i żyjącego pod spec-nadzorem przesiedlonego społeczeństwa zrobić. Wśród nich są tacy śmiałkowie, jak Teodor Kuziak z Liśca i Michał Romaniak z Michałowa. Jakoś wymogli oni zgodę administracyjnej cenzury i w różnych miejscowościach wystawili łemkowskie sztuki teatralne. Publiczność płakała. Rozpoczęto organizować łemkowskie wesela i zabawy. W tym ożywieniu zrodził się nowy aktyw społeczny: Jan Kret, Wasyl Spodaryk, Michał Kuchta, Jan Feleńczak, Ksenia i Stefan Pyłyp, Teodor Kiec, Ksenia Fudżak, Prokip Kuziak, Teodor Kuziak, Seman Zendran, Wasyl Chomiak i Jan Fudżak. Działalność tych śmiałków promieniowała na całe zachodnie osiedleńcze tereny i tworzyła nowy aktyw społecznego działania zwłaszcza u łemkowskiej młodzieży w województwach zielonogórskim, gorzowskim, wrocławskim i na Pomorzu. Szukaliśmy ludzi odważniejszych a chętnych do społecznego działania. Było ich niemało: Krynicki, Czerhoniak Jan, ksiądz Jan Polański, mgr Fecica Piotr, Wansa Stefan, Dudra Jakow, Sanocka Julia, Merena Dymitr, Demaj, Kowalski Michał, Halczak Mikołaj, Kułyk Stefan i inni. We Wrocławiu duża grupa aktywu była skupiona wokół osoby Bazylego Szosta i Lwa Gala. W Lubinie chyba najwcześniej odważyliśmy się już na jawne organizacyjne narady społeczne, na zebrania głównie u mnie w domu, we wsi Miroszewice nr 9. Moja praca w większości była terenową. Niemal codziennie obsługiwałem jakieś zebranie wiejskie, gminne lub na szczeblu powiatowym, co dawało mi możliwość kontaktów także z naszymi ludźmi z akcji „W”. Jako przewodniczący kolegium Zespołu Gospodarczego przy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Lubinie, postawiłem wniosek o ukaranie przewodniczącego Spółdzielni Produkcyjnej Michała M. przesiedlonego z Bartnego, za nie wykonanie przez jego „Kołchoz” planu obowiązkowych dostaw zboża, mięsa i

mleka. Był to typ bardzo sadystyczny a przywożony ze specobstawą autami partii i administracji na wiejskie zebrania, aby namawiał ludzi a zwłaszcza przesiedlonych do zapisywania się do Spółdzielni Produkcyjnych. Na zebraniach tych w rozmaity sposób ludzi przymuszano, poniżano i męczono. Zebrania takie zwykle ciągnęły się bez żadnej przerwy nawet ponad dwie doby. Wystarczyło, że ktoś kto nie podpisał jeszcze deklaracji zgody, a odważył się za swoją fizyczną potrzebą na chwilę wyjść, to automatycznie stawał się wrogim elementem i był poddawany śledczym metodom, z kim i w jakim celu wychodził się kontaktować. Już po kilku dniach od nałożenia kary na „Kołchoz” kierowanemu przez M., zaproponowano mi zapisanie się do partii. Po odmowie zostałem wezwany na Egzekutywę Powiatowego Komitetu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej za to, że wydaję za dużo decyzji o umorzeniach obowiązkowych dostaw ludziom z akcji „W”. Oskarżali mnie: członek egzekutywy Stanisław Zimny i sekretarz Chabucki. Wybrnąłem z tego zaprzeczeniem oraz uwagą, że Zimny oskarża mnie wyłącznie z osobistej zemsty, bo nie chcę się żenić z jego córką - w co uwierzono. W tym czasie biurowi koledzy z pracy radzili mi unikać rozmów z księdzem Lewiarzem, a co najmniej szczerości w słowach, bo pana szkoda! Do cerkwi przychodziło coraz więcej ludzi, a ja w wolne dni zapuszczałem się w coraz odleglejsze miejscowości dla zorientowania się gdzie, ile i skąd mieszka tam przesiedlonych z „Akcji W”. W powiecie Góra Śląska trafiłem do miejscowości Majówka, w której mieszkali przesiedleni ze wsi Kotań i Świątkiwka. Przypadek sprawił, że trafiłem do domu sołtysa G. - Łemka ze Świątkiwki, którego poznałem podczas okupacji, gdy korzystałem ze schronienia przed hitlerowską obławą u jego sąsiada Konstantynowicza. Tu schowałem motocykl w stodole i chętnie przenocowałem. To, co mi tu opowiadano, jak nad przesiedlonymi znęca się partyjno-administracyjna władza z powiatu, wręcz trudno było uwierzyć. Następnego dnia pokazano mi idącego drogą funkcjonariusza i dodano, że jest to jeden z tych, którzy znęcają się najbardziej. Na wszelki wypadek poprosiłem, aby oni nie przyznali

się, że kiedykolwiek u nich byłem, albo kiedy mnie widzieli. Chykiem wszedłem do domu, w którym ten już był. Surowa moja mina dodawała agitatorowi odwagi, a stojącej przy kuchni kobiecie z kilkorgiem małych dzieci potęgowała płacz. Przez jakiś czas z lekkim uśmiechem przysłuchiwałem się jego banderowciani „przeklętym Łemkom”. Wreszcie odezwałem się: - towarzyszu, pozwólcie ze mną! Na podwórzu już ostro do niego: waszą legitymację proszę - podał mi, legitymację partyjną - podał, pozwolenie na broń - podał, pistolet proszę - podawał, ale opornie. Co, pomóc wam? Wtedy podał mi TT-kę. Więc jesteście instruktorem Powiatowego Komitetu Partii, a termin delegacji minął już dwa dni temu, więc co wy tu jeszcze robicie? Macie do tego zapasową amunicję? - nie. Wyprowadziłem go za ogródek na piaszczystą drogę, wyłuskałem wszystkie naboje i rozsiałem je po ogrodzie. Natomiast pistolet i pusty magazynek oddzielnie rzuciłem mu pod nogi do piasku. Odchodząc powiedziałem, żeby się nie ważył tu więcej przychodzić i kogokolwiek namawiać do kołchozu i to samo przekazał swoim towarzyszom. Dopiero po kilku miesiącach przy cerkwi we Wrocławiu dowiedziałem się, że od tego czasu namawianie do kołchozu w tej i okolicznych wsiach nie powtórzyło się więcej. Natomiast jeszcze tego samego dnia i w następnym, silnie penetrowano teren i rozpytywano, czy kto nie widział tu jakich obcych ludzi. Niespodziewanie w tym czasie, a był to rok 1955, na horyzoncie cierpiącej ludności z akcji „W” w dobie naszego raczkującego działania, pojawił się człowiek w mundurze oficera Milicji Obywatelskiej, Bazyli Szost. Z ust do ust zadawaliśmy sobie pytania kim on jest? Nadzwyczajny bohater - w co nikt nie wierzył, czy dyspozycyjny wykonawca – prowokator dla rozeznania pozostałości aktywu z ukraińskiego podziemia? Dziś z oddali czasu skłonny jestem stwierdzić, że był to zleceniobiorczy wykonawca, któremu należy przyznać także bohaterstwo i osobisty spryt, gdyż swoje dyspozycyjne możliwości wykorzystał maksymalnie dla ulżenia swojemu narodowi, wykorzystując do tego osobisty dar przekonywania swoich partyjno – służbowych zwierzchników jako zleceniodawców akcji odwilży, a

równocześnie skupiał wokół siebie ujawniający się młody aktyw. Były to czasy szczególnie ciężkie, a jego taktyka na tyle klasyczna, że w przeciwieństwie do innych przypadków, Bazyli Szost vel Wasyl Krynycki bynajmniej odczuwalnie nikomu nie zaszkodził. Tak więc jego działalność przy nieprzygotowanej do przeciwdziałania takiej odwilży przez administrację ucisku, a przy aktywnej jemu pomocy innych, takich jak Leon Gal, Lubko Piech, Dymitr Stefanowski, Wasyl Maksymczak, Piotr Dzwinczyk, Jurko Małachowski, Irena Hubiak, Helena Litewczuk, Michał Stach, Mikołaj Śpiak, Piotr Gandża, Stefan Dziubak, Eugeniusz Jewusiak a także częściowo Irena Tymoczko i inni, szybko zaowocowała rozkwitem społecznej działalności. Poczęła nawet rysować się charakterem zrywu społecznego i dawała podstawy zapoczątkowania masowych żądań naprawy doznanych krzywdf oraz zezwoleń na powroty i zwrot odebranych majątkowych własności. Żądania te wsparte aktywną społeczną działalnością, także w innych województwach, a szczególnie w zielonogórskim, doprowadziły do zwołania Zjazdu w Warszawie, a w jego rezultacie powołania Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno – Kulturalnego z jego organem prasowym „Nasze Słowo”. Ponad pół roku przed Zjazdem, Szost z kolegami powołał we Wrocławiu Komitet Kulturalno – Oświatowy i w oparciu o jego istnienie wystarano się u wojewody o przydział lokalu, który otrzymano w Ratuszu na I-ym piętrze. Przyjeżdżała z Przemyśla pani, która zajęła się zorganizowaniem i prowadzeniem zespołu artystycznego, a w terenie przystąpiono do przeprowadzania powiatowych Zjazdów przesiedlonych akcją „Wisła”. Zjazdy te przy współdziałaniu Gala i innych, obsługiwał osobiście Bazyli Szost. Wszędzie występował on w mundurze oficera Milicji Obywatelskiej. Przy przepelnionych ludźmi największych salach w powiatach, przemawiał do ludzi łemkowską mową. Szokującej radości i płaczu wzruszenia opisać wprost nie jest możliwym tym bardziej, że dotąd mundur dla naszych ludzi oznaczał tylko strach i ciężkie wspomnienia tragedii. Takie powiatowe Zjazdy odbyły się: w 1) 22 XI. 1955 w Lubinie Legnickim, 2) 25. XI. 1955 w Legnicy, 3) 30. XI. 1955 w

Środzie Śląskiej, 4) 6. XII. 1955 w Oleśnicy, 5) 9. XII. 1955 w Oławie, 6) 13. XII. 1955 w Górze Śląskiej 7) 16. XII. 1955 w Wołowie, 8) 20. XII. 1955 w Złotoryi, 9) 29. XII. 1955 w Miliczu. Oczywiście, że do tej działalności ja także włączyłem się z bezgranicznym zaangażowaniem, a Szost mi pomógł lub.... pomógł formalnie, abym był w zasięgu władzy...!!! Zwolniłem się z pracy ze stanowiska v-ce prezesa Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Szprotawie, tylko po to, aby we Wrocławiu móc się włączyć do społecznej działalności kulturalnej na rzecz skrzywdzonych łemkowskich przesiedleńców. We Wrocławiu przy pomocy Szosta, jako oficera MO, zostałem zatrudniony także na kierowniczym stanowisku w Wojewódzkim Związku Gminnych Spółdzielni. W pracy wnet zorientowałem się, że czuwa nade mną pan Żurek jako polityczny patron – anioł. Nie przeszkadzało mi to, bo ja niczego złego tu nie robiłem. Zarówno w biurze jak też w terenie obowiązki swoje wykonywałem starannie, z nikim się nie kontaktowałem, a jedynie czekałem wieczoru, aby pójść do ratuszowej świetlicy na spotkanie z naszą młodzieżą. Czułem się człowiekiem nikomu po pracy niepodległym, także Szostowi. Nie przyznawałem się o moich atutach udziału w naszej antyhitlerowskiej partyzantce i udziale w Słowackim Powstaniu Narodowym - a w tym czasie ważnych, i nadal zwykłem występować śmiało i w pojedynkę. W przededniu Zjazdu w Wołowie dnia 14 . XII. 1955 roku wezwał mnie do siebie dyrektor WZGS, pan Badian i powiedział: „panie Fudżak, mam obowiązek dopilnować, ażeby przez najbliższe trzy dni pozostawał pan w pracy tu na miejscu i w tych dniach nie opuszczał biura. Proszę się dostosować i nie przysporzyć przykrości mnie i sobie”. W duchu wtedy poczułem do Szosta żal. Dlaczego nie powiedział mi to ktoś z naszych, tylko musiała to zrobić aż bezpieka drogą służbową przez dyrektora Badiana. Publiczne wystąpienie do tłumu swoich przesiedleńców było dla mnie najważniejsze. Tu powtórzyła się sytuacja mojego wystąpienia w Małomicach. Manewrując w tłumie, udało mi się dotrzeć i zająć miejsce na mównicy

obok srogiej władzy prokuratorsko - partyjno - administracyjnej siedzącej za prezydialnym stołem i nie tylko, bo wiedziałem, że z mównicy nikogo „zdjąć” nie wolno, a co nastąpi ze mną potem, nie zważałem. Po moim bardzo ostrym wystąpieniu większość ludzi w wypełnionej po brzegi sali płakała i zdobywała się na wypowiedzi swoich ciężkich żalów i wносиła konkretne skargi i żądania. Byłem bardzo zdziwiony, że pozwolono mi wrócić wolno. Dyrektor Badian pożegnał mnie słowami: „Bardzo żałuję, że pana tracę, ale proszę mnie zrozumieć jako zależnego od siły wyższej. Niech pan napisze prośbę, że zwalnia się pan na własne żądanie”. Odprowadzając mnie do drzwi dodał: „pan się chyba domyśla, że ja jestem taki sam jak pan, ale chcąc żyć, nie możemy się kierować własną wolą”. Natomiast mój opiekun biurowy przy pożegnaniu powiedział do mnie otwarcie: „Panie Fudżak, ja potrzebować pieniędzy na nowe auto, pan mi dać trochę tych pieniędzy to i ja wtedy za tą pańską Ukrainę wszystko panu załatwić i pan będzie mógł dalej ze mną pracować”. Szkoda mi było opuszczać nie tyle Wrocław, co grona naszych działaczy schodzących się wieczorami do świetlicy w Ratuszu. Gwoli należytego zrozumienia należy odpowiedzieć chociaż na dwa, nadal nie wszystkim zrozumiałe pytania:

- 1) Jak doszło do częściowej „odwilży” w położeniu przesiedlonych akcją „W”?
- 2) Dlaczego dawną nazwę Rusini - Ukraińcy zastępowano rozpopularyzowaniem nazwy zastępczej - Łemkowie, my Łemkowie? Po ciężkich przeżyciach dwoma przesiedleniami, utratą majątku, cerkwi, a często także najbliższych, specjalnych prześladowaniach i złych traktowaniach na nowych miejscach osiedlenia, coraz więcej śmiazków zaczęło pisać skargi do władz, a także do rodzin za granicą i tą drogą do prasy. Wzmagające się nagłośnienie problemu spowodowało wreszcie potrzebę ratowania autorytetu i roli partii, a tym samym władzy. Stąd też wówczas (w jednonarodowym socjalistycznym państwie) w Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w kwietniu 1952 roku podjęto

Uchwałę kontrolowanego ulżenia społeczności ukraińskiej w jej dotychczasowym położeniu na miejscach nowego osiedlenia, zwłaszcza na odcinku jej rodzimej kultury i szkolnictwa. Uchwała ta jednak nie dotarła do wiadomości zainteresowanego społeczeństwa i praktycznie nie wychodziła w dół od wojewódzkich komitetów partii i wojewódzkich administracji państwowych. Mówiąc innymi słowami, to w tej sprawie w terenie nic nie drgnęło, a chciano teraz przypodobać się Chruszczowowi uchodzącemu za Ukraińca. Dlatego też Uchwałę KC PZPR z kwietnia 1952 roku postanowiono wesprzeć specjalnym Listem Sekretariatu KC PZPR z czerwca 1955 roku i to dopiero zaowocowało wyżej opisanym działaniem Szosta i innych, w rezultacie czego doszło do powołania tak kłopotliwego dla polskiego rządu Ukraińskiego Społeczno – Kulturalnego Towarzystwa. Ośrodek wrocławski, a po nim zielonogórski, początkowo stały się główną siłą napędową społecznej działalności dla przesiedlonych. W celowo wytworzonym i nagłaśnianym stereotypie Ukraińca - koniecznie jako rezuna, bandyty, mordercy, a co najmniej sprzyjającego temu nacjonalisty. Wśród niejednolitej świadomości narodowej u Łemków, wytworzyła się odskocznia do niewinności w rodzaju wypowiedzi: my nie UPA, my nie banderowcy, my nie Ukraińcy, bo my Łemkowie. Często to było wygodniejsze od nazwy Ukraińca czy Rusina i tak zastępczo się rozpowszechniło. Dopuszczenie do ukraińskiego Zjazdu w 1956 roku, w którym zdecydowanie przeważali przesiedleńcy z Łemkowszczyzny, a wylew doznanych krzywd i żądań powrotów nie miał końca, spowodował w Warszawie przysłowiowe trzęsienie ziemi. Szalał szczególnie v-ce Premier Piotr Jaroszewicz. W wielu oknach w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wtedy w nocy nie gasły światła, a w KC PZPR pośpiesznie szukano zaufanych Ukraińców dla „uszczenia partyjnej czapki” na powołane Zjazdem Ukraińskie Społeczno – Kulturalne Towarzystwo. Dla władzy ważne było dopilnować wtedy i to z różnych przyczyn, aby tacy ludzie - już popularni jak Szost i Gal z Wrocławia czy Krynicki z Zielonej Góry, nie zostali dopuszczeni do opanowania Zarządu Głównego i Redakcji. Za najbardziej

odpowiednich uznano i skierowano do kierowania powstającą ukraińską organizacją: 1) pracownika warszawskiego Komitetu Miejskiego PZPR Grzegorza Bojarskiego, syna Wasyla, z wykształcenia nauczyciela, oraz 2) Dyrektora Departamentu w Ministerstwie Rolnictwa Stefana Makucha - szeroko znanego szczególnie z Sanoka i Przemysła przedwojennego łemkowskiego działacza o prawa mniejszości narodowych, członka Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy ukaranego najwyższym wyrokiem zbiorowego osądzania i męczonego w więzieniach Berezy Kartuskiej. Wezwanym do KC PZPR na rozmowę zaproponowano stanowiska: Makuchowi przewodniczącego, a Bojarskiemu sekretarza Zarządu Głównego powstającego Towarzystwa. Jego nazwę miał ustalić sam Zjazd. Z góry też przygotowano druk pierwszej ukraińsko-języcznej gazety „Nasze Słowo” tak, aby trafiło ono do rąk delegatów przybywających na Zjazd. Redakcję powierzono bardzo doświadczonemu politykowi z byłego KPZU, Adrianowi Hoszowskiemu, a wnet potem specjalnie sprowadzonemu z Zakarpacia - Boże zmiłuj się - ale politrukowi, Mikołajowi Szczyrbie, który wnet sprowadził sobie z Zakarpacia na redaktorów bardzo wartościowe małżeństwo Zynyczów. W terenie do końca nie można było przewidzieć jak zachowa się władza i czym ten nasz Zjazd będzie mógł się zakończyć, tym bardziej, że nasilenie przeciwdziałania władzy, a szczególnie w Zielonej Górze, stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Dlatego też przed Zjazdem dniami i nocami docieraliśmy do poszczególnych delegatów dla ich przygotowania do wystąpień. Na wszelki wypadek część aktywu postanowiliśmy pozostawić w rezerwie jako niezaangażowanych na wypadek rozpędzenia, aresztowań i innych niepowodzeń Zjazdu. Tak więc bez rozgłosu zadbano, aby było z kogo w takim wypadku wystawić „front drugiego uderzenia”. W tym działaniu szczególnie wyróżnili się: Wirchniański Hawryło, Piotr Fecica, Stefan Wansa, Włodzimierz Szłaga, ks. Polański Jan, Halczak Mikołaj, Kuchta Michał, Kuziak Teodor, Fefeńczak Jan, Kowtko Andrzej i wielu innych. Nie brakowało i takich, co aktywnie

przeciwdziałali. Bardziej zdolnych i oddanych w większości nie ujawniano i po części byli oni także delegatami na zakończony sukcesem I-y Zjazd w czerwcu 1956 roku. Powiatowe Zjazdy przesiedlonych „Akcją Wisła” wykazały niespodziewanie silny potencjał, szczególnie w żądaniach naprawy krzywd i zezwoleń na powroty. Administracja rządowa starała się te sprawy wyciszyć i do nowych Zjazdów już nie dopuszczono. Tu przytoczę przykład jak niekiedy starano się przez niektórych aktywistów przekładać sprawy nacionalnej nazwy - my Ukraińcy, nad żądania o powroty i naprawy krzywd. Zjazd przesiedlonych „Akcją Wisła” do powiatu Lubiń Legnicki odbywał się na przedmieściu tego miasta w Małomicach. Zjazd ten zaszczyciła władza powiatu, ta oficjalna i liczna nieoficjalna włączona w tłum zebranych. Z ramienia Społecznego Komitetu Ukraińców z Wrocławia występował Leon Gal. Ja na tym Zjeździe wystąpiłem w bardzo ostrych słowach przeciwko krzywdom doznany takim przesiedleniem, jak też nadal trwającym w różnych formach dyskryminacjom, oszczerstwom i ponizaniom, a tolerowanym przez władze. Wystąpiłem z żądaniem o zezwolenie na powroty na swoje gospodarstwa. Zaraz wystąpił delegowany do obsługi tego Zjazdu Leon Gal, który nie podzielał podnoszonych przeze mnie tematów krzywd, a jedynie nalegał o społeczną aprobatę nazwy, że Łemkowie są Ukraińcami. Pyrcz Milko z Hańczowej jeszcze i dziś wspomina, że wtedy zebrani byli przekonani, iż za to moje publiczne, tak ostre wystąpienie ja natychmiast zostaną aresztowani. Od tego czasu dostrzegałem śledzenie mojej osoby oraz zjawianie się u mnie nowych „znajomych”. 25 listopada 1955 brałem udział w podobnym Zjeździe w Legnicy. Tu głosu nie zabierałem. Obsługiwał podporucznik MO Bazyl Szost w mundurze. Jednak odtąd samorzutnie powstawał nowy aktyw społeczny, którego już nie dało się wyciszyć posądzeniami o udział w UPA lub o ukraiński nacjonalizm. Dla swojego działania szukał on wsparcia głównie przy już istniejącym Komitecie Kulturalno – Oświatowym we Wrocławiu oraz przy licznym łemkowskim aktywie w Zielonej Górze. Ponieważ I-y Zjazd UTSK w 1956 roku nie

spełnił oczekiwania jego delegatów i całej przesiedlonej ludności - o czym mowa niżej, wynikła sytuacja z powodu wielkiego rozczarowania. Doprowadziła ona do przygotowania i zwołania w lutym 1958 roku we Wrocławiu Zjazdu weteranów wojennych i partyzanckich, których krzyk rozpaczy krzywd ujęto w ramy formalnych petycji o rozgłosie światowym, a jednogłośnie tym Zjazdem głosowaniem zatwierdzonych i wysłanym stosownym adresatom. Ten Zjazd Weteranów we Wrocławiu był drugą niespodzianką, i to nie tylko dla PZPR i rządu polskiego, ale także dla Związku Radzieckiego, gdzie Zjazd ten zwrócił się z takimi samymi żądaniem. Zawrzało wtedy i to mocno!!! Rozprawić się z wrocławsko - zielonogórskimi „warchołami” i „separatystami” podjął się przewodniczący Zarządu Głównego UTSK Grzegorz Bojarski. Opracował on projekt i dopilnował jego natychmiastowe uchwalenie przez Rząd PRL (12. III. 1958 rok), którym zamiast spełnienia żądań pokrzywdzonych, bądź chociaż przedyskutowania ich możliwości przyobiecanych na I-ym Zjeździe UTSK, tą nową ustawą z pomysłu Bojarskiego, wszystkich wysiedlonych akcją Wisła do reszty pozbawiono wszelkich praw do swojej odwiecznej rodzinnej własności oraz powrotów w ogóle, jak też prawa do jej dziedziczenia. Jednocześnie rozpoczęto indywidualne rozmowy z pojedynczymi „świadomymi” ukraińskimi aktywistami dla ustawienia ich przeciwko „neswidomoho” łemkowskiego separatyzmu. I o dziwo, znalazło się takich wielu! W rezultacie to znacznie pogłębiło rozdzielanie duchowo – narodowe już Łemków od spec - wysoko „świadomych” Ukraińców, czemu bardzo sprzyjała redakcja „Nasze Słowo” i kierowniczy Główny Zarząd UTSK z jego doborowym aktywem terenowym. W tym stanie rzeczy często zadawano sobie pytania, kto obecnie przez Łemków winien być uznawany za wroga. Polska, która ich tak skrzywdziła, czy Ukraińcy, którzy ten bagaż krzywd nie pozwalają nam zdjąć? Do pomocy w realizowaniu tego i uśmierzeniu, co aktywniejszych działaczy - głównie łemkowskich, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych pośpiesznie sprowadziło ze Lwowa do Polski byłego porucznika

Urzędu Bezpieczeństwa PRL, Michała Capa vel Dońskiego. Śladami jego wizyt nasiliły się prześladowania lemkowski działaczy szczególnie na Podkarpaciu, w tym rewizje także o nocnych porach, oficjalnie za wycinkami z gazet. Rewizje te miały często bardzo ostry charakter, a szczególnie u Honczaryka w Gładyszowie, Tkaczów w Ropicy Ruskiej (był on wtedy przewodniczącym Zarządu Powiatowego UTSK na powiat Gorlice), Tutka Szymona w Blichnarce i u mnie w Gorlicach. Do mojego mieszkania o godzinie 3:20 w nocy przyszło na rewizję 5-ciu: 2-ch milicjantów w mundurach i 3-ch po cywilnemu na czele z szefem UB Szymańskim. Już w pierwszych słowach zażądali dobrowolnego wydania im posiadanych wycinków zagranicznych ukraińsko-języcznych gazet, jakoby otrzymanych w listach z USA. Byłem pewny, że niczego takiego nie posiadam. Wtedy szef na to powiedział: „Fudżak, proszę wydać dobrowolnie, bo wycinek z takiej amerykańskiej gazety przechowujecie w książce, czwartej z lewej strony na drugiej półce biblioteczki”. I rzeczywiście taki wycinek z „Karpackiej Rusi” tam znaleźli, a widząc moje zdziwienie powiedział: „Macie dobrych kolegów!” Wtedy mieszkał u mnie Paweł Stefanowski i jedynie on, taki przykry „prezent” mógł mi podłożyć. Ja nigdy przedtem ani potem od nikogo z zagranicy żadnego wycinka ani gazety obcej nie otrzymałem. Jako pracownik gorlickiego Starostwa byłem na wszystko bardzo ostrożny. W tę noc wyjątkowo Stefanowski u mnie nie nocował, bo pojechał w „teren”. O tej akcji milicji za wycinkami z gazet opowiadano, że wycinków z gazet u rewidowanych nie znaleziono, tylko u Fecicy w Krakowie. Natomiast Michał Kowalski z Gorzowa Wielkopolskiego za posiadanie ukraińskiej gazety z USA, także w tym czasie był zasądzony i odbył 6 lat ciężkiego kryminału. W tym czasie nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo stanę się „niebezpiecznym” dla polityki PZPR i niektórych pseudo-działaczy spod firmy UTSK - zwłaszcza tych z importu. Po wrocławskim Zjeździe Weteranów, Grzegorz Bojarski z UTSK i Dymitr Perun z MSW wystąpili do KC PZPR i uzyskali zgodę na natychmiastowe zniesienie „debitu” dla nie dopuszczania do Polski

zarówno drogą oficjalną, jak też w korespondencjach prywatnych wszelkiej treści prasy, kalendarzy oraz wycinków prasowych ukraińskich lub rusińsko-języcznych, co nastąpiło w trybie natychmiastowym. Na Podkarpaciu od tego czasu gazety z krajów zachodnich legalnie otrzymywał tylko Michał Cap - Doński w Rzeszowie i Teodor Gocz w Zyndranowej.

Powróćmy jednak do wystąpień delegatów na I-ym Zjeździe UTSK w Warszawie. Władze Rządu PRL i partię PZPR reprezentował na nim upoważniony i kompetentny V-ce Premier Jarosiński. W wystąpieniach delegatów argumentacja żalów o bezprawie i nadal czynione krzywdy była trudna do opanowania. Jarosiński te wystąpienia musiał łagodzić wieloma obietnicami. Po tym Zjeździe z jego delegatami jak też nowo-wybranymi władzami powołanego Towarzystwa UTSK nie było komu rozmawiać, a pan Jarosiński okazał się w ogóle nieosiągalny, jakby się rozplynął wraz ze wszystkimi obietnicami. Jedynie redakcja „Nasze Słowo” zrzecznością redaktora Adriana Hoszowskiego mogła trwać w złagodzonej formie trudnego działania. Wybrane na Zjeździe władze UTSK już w ich zarodku rozpoczynanej pracy usiłowano ustawić w ramy partyjnego ukierunkowania, a więc założeń strukturalnych powołanego na sekretarza ZG UTSK Grzegorza Bojarskiego. Już od pierwszych dni działania, Bojarski usiłował podporządkować sobie społecznie i politycznie, wybranego przez Zjazd na przewodniczącego ZG UTSK Stefana Makucha. Makuch za podstawy działania usiłował brać do realizacji i ustosunkowania się do wystąpień i petycji delegatów i Uchwały Zjazdu, co wręcz przeciwstawiało się żądaniom sekretarza Bojarskiego. Stefan Makuch jako prawnie wybrany Zjazdem usiłował stać się wiernym obrońcą wszystkich skrzywdzonych przesiedleniem i nadal krzywdzonych Ukraińców w tym Łemków. Zawsze i wszędzie podkreślał, że on jest świadomy cierpień za swoją walkę, tak okresu przedwojennego od polskiej Sanacji jak i obecnie od władzy ludowej, ale on jako wierny syn Karpackiej Ziemi i Łemkowsko - Ukraińskiego narodu, do końca życia pozostanie wiernym w służeniu naszej

mniejszości narodowej w Polsce i walce o przywrócenie jej należnych praw i godności! To jego niezłomne stanowisko skutkowało wezwaniem go na „dywan” do KC PZPR, gdzie otwarcie postawiono mu NAKAZ realizowania „słusznej polityki Partii i Rządu wobec Ukraińców w Polsce, a w tym czołowej roli i zadań jako ścisłych wytycznych dla Zarządu Głównego i całej organizacji UTSK”. Zadania te Makuchowi w obecności sekretarza Bojarskiego postawiono tak ostro, że nie mogły one podlegać żadnej dyskusji, co do ukierunkowania pracy Towarzystwa i wśród wszystkich Ukraińców w ogóle. Tą dyrektywą dla UTSK za najważniejsze uznano: Nie dopuszczać do żadnych marzeń o powrotach i rozliczeniach krzywd. W tym celu niezwłocznie odbyć spotkania z ludnością celem utrwalenia jej stabilności na nowych miejscach zamieszkania. Rażące nieporozumienia sąsiedzkie, sprawy możliwości udzielenia przesiedlonym kredytów i ewentualne nauczanie dzieci ukraińskiego języka regulować na miejscu w porozumieniu z lokalnymi władzami. Były to słowa Sekretarza KC PZPR do spraw mniejszości narodowych Aleksandra Sława. Zdaniem Makucha, w całości inspirowane Grzegorzem Bojarskim. Na koniec tej rozmowy z wezwanym Makuchem, Sław wstając zza biurka ostrym tonem słów powiedział: „Towarzyszu Makuch, żadnych powrotów wysiedlonych na stare ich miejsca, zarówno zbiorowych jak też indywidualnych (z sylabowym dociskiem) n i e b ę d z i e ! i t o j e s t w a s z e z a d a n i e !!!” Makuch z trudem zapanował nad sobą i ledwie wydusił z siebie wypowiedź, że on na tą funkcję został wybrany legalnie i jego sumienie nie pozwoli swoich wyborców zawieść i zadane ludziom bezmiernie krzywdy lekceważyć. „Dlatego już tu, natychmiast zrzekam się tej funkcji przewodniczącego UTSK i oddaję wam partyjną legitymację. Nie o taką sprawiedliwość społeczną walczyłem i przez Sanację byłem więziony przez 30 lat”. Po tych słowach odwrócił się i wyszedł. Dalsze działania UTSK, jak też czynniki hamujące działalność i rozwój organizacji w zasadzie są znane. Niezaprzeczalne są też i osiągnięcia UTSK, działania pozytywne, które głównie wynikały z działalności

kulturalnej, co powodowało, że ludzie nie ulegali zupełnej polonizacji.

Już w trzecim miesiącu po odbytych Zjeździe UTSK, w Polsce i na Ukrainie - wtedy radzieckiej, rozpowszechniono broszury autorstwa wojskowych Bielajewa i Rudnyckiego pod tytułem „Pid czużymy praporamy” o treści z samych anty-ukraińskich paszkwili i oszczerstw. Dnia 17. III. 1957 roku przyjechało do mnie do domu czterech panów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na czele z dyrektorem departamentu Broniatowskim, którzy w towarzystwie kierownika wydziału spraw wewnętrznych Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Lubinie, abym wyraził zgodę na podjęcie pracy w Zarządzie Głównym UTSK. Odmówiłem. Dnia 29. III. 1957 roku wizytę taką ponowiono w innym składzie, w tym z Dimitrem Perunem. Kierownik Pakuła na osobności powiedział do mnie, abym się zgodził, gdyż nie mam wyboru. Podjąć tę pracę, albo liczyć się z aresztowaniem pod byle oskarżeniem, bo jestem działaczem już zbyt głośnym i on życzliwie radzi mi wyrazić zgodę i tę pracę podjąć. Tak więc już 1 kwietnia 1957 roku byłem zatrudniony na etacie starszego instruktora ZG UTSK z miesięcznym wynagrodzeniem 1800 złotych, jako pacownik po części terenowy. Towarzysko przyjęło mnie tu bardzo serdecznie, a podlegałem tylko przewodniczącemu Bojarskiemu. W sekretariacie obok pani Tchir pracował jeszcze księgowy pan Fijałkowski. Sekretarzem ZG UTSK była pani Olga Wasylkiw. Pani Tchir rodem z Pętnej wnet dała mi do zrozumienia, abym w rozmowie z Bojarskim był ostrożny. Gdy się zjawiałem i przechodziłem do gabinetu Bojarskiego przez sekretariat, witała mnie zawsze ciepłym spojrzeniem ale powściągliwa w słowach. Bojarski ostrzegł mnie natomiast, abym nie przyjaźnił się z Olgą Wasylkiw, bo jej osobą interesuje się bezpieczeństwo z powodu podejrzeń o jej brata w UPA. Natomiast Mikołaj Siwicki na schodach do redakcji „Naszego Słowa” zwrócił się do mnie, abym załatwił mu pracę w amerykańskiej „Karpatskiej Rusi”, z którą ja przecie żadnego kontaktu nie miałem i przyjąłem to jako sygnał prowokacyjnego zainteresowania się moją osobą. Pewnego razu przed wyjazdem w teren musiałem pójść z panią

Wasyłkiw do jej mieszkania po potrzebne mi papiery. Po drodze uprzedziła mnie, że jej mieszkanie jest na podsłuchu. Papiery odebrałem od niej przez próg, bez żadnego odzywiania się. W pracy starałem się być powściągliwy i posłuszny w znaczeniu uczynnym, więc Bojarski traktował mnie bardzo dobrze, a ja nigdy nie zapomniałem o jego drugiej roli - politycznej. Już 5 kwietnia 1957 brałem udział w posiedzeniu tak zwanej Komisji Tkaczowa i pisałem protokół z tego posiedzenia, który niniejszym zamieszczam na końcu. W następnych dniach brałem udział w posiedzeniach Prezydium ZG UTSK. Posiedzenia te, jak też następne w swej treści, były bardzo interesujące. Na tych posiedzeniach oprócz wniosków ogólnych, często konkretnych i konstruktywnych, zorientowałem się, że szczególnym obowiązkiem struktury organizacyjnej UTSK jest obowiązek pomóc partii i rządowi w utrzymaniu - stabilizowaniu wszystkich przesiedlonych, wyłącznie na ich nowych miejscach osiedlenia oraz czynienia wszystkiego, aby odciągnąć ich od zamiarów i starań o powroty w rodzinne strony. Temu celowi ma służyć mobilizowanie aktywu społecznego do skutecznego odradzania powrotów i pomocy przesiedlonym w łagodzeniu społecznych zatargów, pomoc kredytowa i organizowanie ukraińskiego szkolnictwa. Na jednym z takich posiedzeń Prezydium zabrał głos redaktor naczelny „Naszego Słowa” Mykoła Szczyrba mówiąc: „Jak szczo my tak budemo dijaty, to ci i za desiat lit ne osiahnemo pownoj połonizacji”. Konsternację obecnych starał się złagodzić redaktor Hoszowski. Dosadność tej wypowiedzi Szczyrby długo rozsadzała mi piersi i spędzała z oczy sen. Innym razem, gdy była mowa o szkolnictwie, sekretarz Wasyłkiw powiedziała: „Znajete holowo, do Peremyszla ja pojidu z ochotoju, ale do Zełenoj Hory i Wrocławia ni, bo ja tych Łemkiw nenawydzu jak czortiw i ne chocz z nymy nawit howoryty”. Gdy zauważyła mnie siedzącego z tyłu, zarumieniła się i pośpiesznie dodała: „Ni, ni, ja was pereproszuju, bo zowsim was ne mała na dumci”. Szczególnie wtedy odczułem przykre poniżenie i upokorzenie od ukraińskiej literaturnej wyższości z lepionych

szewczenkowskich chatkach nad moją rodzimą besidą z łemkowskich drewnianych chyz. Pewnego razu Bojarski poświęcił na rozmowę ze mną cały dzień, a po pracy zaprosił mnie do swojego mieszkania. Mówił, jak to on jest bardzo ze mnie zadowolony, ale oczekuje też z mojej strony pomocy w umocnieniu działalności terenowej wśród Łemków ze szczególnym położeniem nacisku na przeciwstawienie się separatyzmowi i powrotom. Od czasu do czasu wstępowałem do redakcji „Nasze Słowo”, która dla ułatwienia poruszania się w terenie, wydała mi legitymację prasową. Legitymacja ta rzeczywiście często była dla mnie znacznym ułatwieniem, zwłaszcza w różnych instytucjach. Na widok „błyśnięcia” nią, zwykle byłem przyjmowany wyjątkowo życzliwie, bo brany za ... dziennikarza z katolickiego „Słowa Powszechnego” i wtedy dostęp do różnych prawd, stawał się dla mnie otwarty i szczerzy. Takim przykładem był mój wyjazd do Krynicy i Nowego Sącza. W Nowym Sączu zgłosiłem się do I-go sekretarza Wojewódzkiego Komitetu PZPR i poprosiłem o zarekomendowanie mnie kierownikowi Wydziału Rolnictwa Wojewódzkiej Rady Narodowej w sprawie rozeznania stanu powysiedleńczego po „Akcji Wisła”. Telefon do I-go sekretarza... i miałem do dyspozycji 4-ch pracowników, przedkładających mi wszelkie dokumenty. Podań o zezwolenia na powroty i zwrot własnych gospodarstw a także ponagleń w tych sprawach, przeważnie wcale nie rejestrowanych, naliczono tam wtedy 3218. Wiele z nich zwłaszcza z województwa gorzowskiego i zielonogórskiego, było pisanych przez adwokata z Gorzowa. Odpowiedzi nie udzielano nikomu. Urzędników wtedy obowiązywał już Administracyjny Kodeks Postępowania. Jednak wysiedlonych, a nawet po dziś dzień, jakby on nie dotyczył i w ogóle nie obowiązywał. Stwierdziłem, że odpowiedzi w tych sprawach nie udzielano nikomu. Natomiast ubolewano, że wszelkie czynności osadnicze nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Wielu nadal nie wierzy, że Rusini kiedyś nie zechcą tu wrócić i swoje odebrać, a wielu już osiedlonych słabo sobie radzi i z tych górskich gruntów nie uzyskuje dostatnich dochodów. Z przywiezionych materiałów, tak Bojarski, jak też

redakcja „Naszego Słowa” nie zrobiły żadnego użytku, a nawet mi wyperswadowano i dodano, że takie analizowanie byłoby przydatne, nawet bardzo potrzebne ale... pozytywne i tylko na nowych miejscach osiedlenia. Od tego czasu dostawałem delegacje wyjazdu, ale przeważnie w zielonogórskie, wrocławskie, a rzadziej w olsztyńskie, koszalińskie czy rzeszowskie województwa. Dla lepszego zrozumienia ówczesnej sytuacji społecznej przesiedlonych i roli, do jakiej zmierzało kierownictwo organizacyjne – partyjne w Zarządzie Głównym UTSK jako jego nieoficjalnej nadrzędności, był brak dobrej woli, i troski o słuźenie pomocą tak członkom organizacji jak i wszystkim innym z akcji „W”. Głośnym echem, z ust do ust, niosły się nadal pojedyncze przypadki polskiego szowinizmu, dyskryminacji i bezprawia. Pomimo zgłaszanych przypadków i nadziei, pomocy nie udzielano ani z Zarządu Głównego, ani redakcji „Nasze Słowo”. Organizacji UTSK na szczeblu centralnym i prasowemu organowi jako w pełni uzależnionym od KC PZPR i MSW przyświecał główny cel polityczny: jak wyciszyć terenową działalność i nie dopuścić do powrotów wysiedlonych?! Spójrzmy więc na dwa przykłady, którymi ZG UTSK nie zainteresował się, a redakcja „Naszego Słowa” nie posłała tam swojego korespondenta, mimo licznych próśb w tej sprawie:

1) Na zabawie tanecznej w Rokitkach powiat Złotoryja dnia 13–14. VI. 1957 roku zorganizowana 10-osobowa polska grupa w wieku 20-30 lat napadła na tańczących przesiedleńców. Pobiła i porznęła ich nożami. Lekarz Bieniszek Rościsław przed sądem stwierdził, że poszkodowany Nestoriak Piotr, lat 28, miał rany brzucha o rozmiarach cięcia 6 x 4 cm i kiszki częściowo na wierzchu. Demaj Paweł lat 25 głębokie rany cięte o rozmiarach cięcia 8 x 4 cm i że groziło im bezpośrednio utratą życia. Tą bandą nożowników dowodził jej organizator i najbardziej agresywny nożownik Trojarz Lech wspólnie i w porozumieniu z: Jewkowskim Marianem, Majewskim Józefem, Majewskim Tadeuszem, Łazą Janem, Wieczorkiem, Chałupą, Ferencem, Paulukiem i Brotajem. Sąd skazał Trojarza na 18 miesięcy, a pozostałych po 10 m-cy. Do rozprawy tej wcale by nie doszło,

gdyby nie skuteczna interwencja łemkowskiego adwokata Bohdana Siokały. Początkowo oskarżeni mieli być sądzeni tylko za chuligaństwo, jednak obrońcy wymogli zmianę kwalifikacji czynu na obwinienie pokrzywdzonych o to, że „ludzi z mniejszości narodowych cechuje nieumiejętność przystosowania się do współżycia w środowisku polskim i są narodem buntowniczym, co stwierdzał okazany sądowi artykuł z „Życia Literackiego“ pod tytułem „1000 km szowinizmu“. Sąd tę gazetę przyjął do swoich akt procesowych jako dokument usprawiedliwiający czyny oskarżonych i dnia 11. XI. 1957 r. wydał tak łagodne wyroki.

2) Rzymokatolicki ksiądz Nowak w Dobiegniewie, nie pozwolił przesiedlonego pochować na cmentarzu, a ponadto z ambony głosił: „mnie Ukraińcy wymordowali rodzinę”. Jakie to miało skutki takiego posiewu inspirowanej nienawiści na świeże rany z zadanych krzywd przesiedlonym u sfanatyzowanych antyukraińsko rzymokatolików, jeszcze i dziś nie trzeba nikomu wyjaśniać. Pomni prawdy Ukraińcy - czy jak kto woli Rusini z Łemkowszczyzny stanowili główną bazę osobową dla powstania organizacji UTSK i masowo wstępowali do tej organizacji. W rozmachu działania zdobywali się na wysuwanie żądań naprawy krzywd i powroty, a także śmiało przeciwstawili się propagandowym zakłamaniami, jakoby przyczyną wysiedleń była walka z ukraińskim podziemiem zbrojnym. Często stosowano odskocznię „my Łemkowie”. Wnet wszyscy zrozumieli, że zostali oszukani, a UTSK staje się organem władzy utwierdzania ich ostatecznego wyniszczenia przez przyśpieszanie wynarodowienia i definitywnego rabunku ich materialnych i kulturalnych dóbr bez żadnej zapłaty czy rekompensaty. Przekonywali się o tym wszyscy i wszędzie. Domyślano się także dlaczego zrezygnował wybrany I-ym Zjazdem na przewodniczącego ZG UTSK Stefan Makuch.

Niespodziewanie w szeregach UTSK odnotowano pojawianie się „pokrzywdzonych” oficerów służb specjalnych, rzekomo wyrzuconych z pracy za ich ukraińskie pochodzenie. Mówiono o nich „oddelegowani” lub wtyczki. Dla takich język łemkowskiej besidy

stawał się barierą. Przesiedleńcy tworzyli jedność zarówno w żądaniach, jak też dystansową nieufność w odniesieniu do zwierzchnictwa ZG UTSK. W swojej bezradności z tej przyczyny, Bojarski ogłosił i nagłośnił lemkowski separatyzm i metody jego likwidacji, głównie poprzez „rozprawienie się z prowodyrami”. UTSK stawało się społeczną kompromitacją i niemal JAWNYM organem MSW i przez MSW w całości było finansowane, gdyż wpływy ze składek członkowskich znikwały i nie pozwalały nawet na zachowanie pozorów wpłat. Terenowe koła UTSK skupione głównie przy zarządach wojewódzkich w Zielonej Górze i we Wrocławiu, stawały się samodzielną trybuną żądań naprawy krzywd głównie poprzez dopuszczenie wysiedlonych do powrotów i zwrotu zrabowanego. Temu służyły masowe żądania organizacyjne, pisanie zbiorowych petycji i w masowych ilościach prośby indywidualne. Ponadto Paweł Stefanowski z Jarosławem Zwolińskim organizowali w Głogowie Zjazd Łemków (prowokacyjny „kocioł” rozbity specsłużbami), Zjazd Weteranów Wojennych i Partyzanckich we Wrocławiu, a także publikacje w prasie zagranicznej, głównie w amerykańskiej „Karpatskiej Rusi”, „Łemkiwskiej wisti” i kanadyjskiej „Homiń”.

Polityka PZPR i MSW w wykonaniu ZG UTSK i redakcji „Nasze Słowo” stała się skompromitowana i zagrożona pełnym zdemaskowaniem jej celów działania, bo aktyw terenowy cechowała jednolitość jakże trudna do rozbicia. Tak więc wytworzył się lemkowski separatyzm, ale nie przeciw ukraińskiej nazwie, lecz przeciw polityce narodowego wyniszczania pod własnym szyldem UTSK i był on wspierany „sztucznym separatyzmem” przez ukraińskich działaczy z Warszawy pod kierownictwem Makucha, Hoszowskiego, Fudżaka i Zynycza. Jednolitość żądań wyrażona głównie zebraniem podpisów pod petycją oraz dokładny opis sytuacji wysiedlonych i nadal doznawanych krzywd, zmusiło Bojarskiego do ataku na „swój” terenowy aktyw (na początek w Zielonej Górze) i jego rozbicie jako elementu „SZKODLIWEGO DLA PARTII I UTSK”. Bojarski wręczył mi delegację i polecił udać się do Gorzowa, Miedzyrzecza i

Strzelec Krajeńskich, dla pełnego zobrazowania jak na tamtych terenach żyje się przesiedlonym i jak są traktowani przez tamtejsze terenowe władze.

Powiat Miedzyrzecz w województwie zielonogórskim. Wizytę składam kierownikowi oddziału społeczno-administracyjnego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, Plebaniukowi. Zapoznaje mnie z wykazem stanu rozmieszczenia przesiedlonych tu w ramach akcji „Wisła” do poszczególnych miejscowości, przy czym wyjaśnia, że wielu z nich przemieszczało się do niektórych sąsiednich miejscowości z przyczyn rodzinnych lub ekonomicznych - głównie z powodu zniszczonych zabudowań. Zasadnicze rozmieszczenia jednak zostały zachowane, a to:

- 1) Miedzyrzecz 30 osób
- 2) Trzcie 67
- 3) Zbąszynek 1
- 4) PGR Dąbrówka 23
- 5) Pszczewo 71
- 6) Rybojady 41
- 7) Bukowiec 31
- 8) Kosieczyn 58 osób
- 9) Kolowo 7
- 10) Lurol Suchy 18
- 11) Borowisko 260
- 12) Templewo 15
- 13) Kursko 8
- 14) Brujce 40

Razem 670 osób.

Pomieszczenie dla UTSK na „domiwku” zostało tu przyznane przez sekretarza Wesolego jeszcze w miesiącu lutym 1957 roku, ale dotąd to jest 1.XI.1957 nie przydzielono. Plan pomocy dla przesiedlonej ludności ukraińskiej w powiecie Miedzyrzecz na rok 1958 został opracowany bez udziału i uzgodnień z przedstawicielem

UTSK. Przewiduje on fundusze z budżetu centralnego 1.520 tysięcy złotych i funduszu własnego 240 tysięcy złotych - jeszcze nie został zatwierdzony. W roku 1956 kredyty tu otrzymało tylko 5 osób, a to:

- 1) Rydzanicz Antonina 20.000 zł
- 2) Misiewicz Maria 8.000 zł
- 3) Misiewicz Katarzyna 10.000
- 4) Stafiniak Emil 5.000
- 5) Demkowicz Katarzyna 5.000

Na moje żądanie dnia 19 listopada 1957 roku odbyła się tu powiatowa narada z udziałem przewodniczącego PPRN, kierownika powiatowego Zarządu Rolnictwa, kier. oddziału Społeczno – Administracyjnego, przedstawicieli powiatowego zarządu UTSK i głównego agronoma powiatowego.

Zebrany zreferowałem moje rozeznanie sytuacji przesiedlonych jako bardzo krytyczną, podając liczne przykłady z terenu. Główny agronom usiłował bronić władzę z motywacją, że przesiedleńcy z akcji „W” wyjątkowo z niekorzyścią dla siebie, bronią się przed osadniczym rozdrobnieniem ich rozmieszczenia. Po rozwiązaniu spółdzielni produkcyjnych (kołchozów), wszyscy ludzie biorą sobie ziemię, a ludność z akcji „W” nie, bo liczą, że otrzymają pozwolenie powrotów na swoje. Na zebraniu tym w dyskusjach, przedstawicielstwo władzy zasypywano najrozmaitszymi skargami o złe traktowanie tak przez miejscowe władze jak i osadników. Niemal wszyscy rozmieszczenie tu przymusowym przesiedleniem, swoje tu osadnictwo uważają za tymczasowe i oczekują rychłego zezwolenia na powroty. Tylko nieliczni z nich zwrócili się o przyznanie im kredytów. W 1957 roku kredyty otrzymało z nich 26 osób na sumę 107.300 zł z ogólnej puli na powiat 248.500 złotych. Przesiedleni często żyją w trudnej sytuacji gospodarczej i rozwalonych pozostałościach ponemieckich domów, a brania kredytów odmawiali z przekonania, że to może zaciążyć wpływem na odmowę decyzji w staraniach o zezwolenie na powroty. Jak już wspomniałem, powstanie UTSK początkowo z radością poparli wszyscy przesiedleni i masowo

zapisywali się na jej członków. Kiedy zorientowano się, że organizacja ta stara się zachować tylko pozory i utrwalenie ich sytuacji pobytu na nowych ponemieckich terenach osiedlenia, nastąpiło wyhamowanie poparcia i rezygnacja z członkostwa w UTSK. Równocześnie rozpoczęły się niemal masowe starania o powroty tak indywidualne, jak również organizowane poprzez terenowe struktury UTSK. W zbieżności z zachodnią krytyką prasową i taktyczną odskocznią do łemkownictwa a nawet rusiństwa, stawało się to dla partii PZPR i Rządu PRL problemem, który nie dawał się zdusić dotychczasowym szablonem antyukraińskiej propagandy, posądzeń o UPA czy nacjonalizm. Szczytowym punktem tego było opracowanie i wysłanie w teren do aktywu UTSK ankiet sondażowych w sprawach żądań powrotów na stare miejsca, co miało miejsce w Zielonej Górze we wrześniu 1957 roku, a we Wrocławiu w lutym 1958 roku. W Zielonej Górze wnioski takie zostały opracowane i przed wysłaniem ich w teren były zatwierdzone przez Prezydium Wojewódzkiego Zarządu UTSK dnia 24 września 1957 (a życzliwy władzy informator już następnego dnia o tym powiadomił). Na tym posiedzeniu wnioski te podpisali: Kowalski Michał, Krynicki Jan, Stawiski Andrzej, Dziubiński Antoni, Holowko Jan, Kułyk Stefan, Cidyło Anna oraz Bagan Włodzimierz.

Dnia 3 listopada 1957 roku z Warszawy do Zielonej Góry jechaliśmy służbowym samochodem z KC PZPR: Aleksander Sław z KC PZPR oraz Grzegorz Bojarski i Jan Fudżak z ZG UTSK. Zebranie w Zarządzie Wojewódzkim UTSK polecił zwołać Bojarski. Natomiast Komitet Wojewódzki PZPR powiadomił Sław, a ci z kolei Wojewódzką Radę Narodową i inne. Po krótkiej formalności przywitania, głos zabrał Bojarski i podał cel narady, którym miał być wygłoszony przez niego referat pod tytułem „Oczyścić zdrowy nurt aktywu w UTSK oraz zdemaskować i usunąć warcholskie elementy i dywersyjną robotę łemkowskiego separatyzmu, uzależnionego od wrogiej i nacjonalistycznej propagandy zagranicznych ośrodków, podburzających do powrotów”. W naradzie tej udział brali

przedstawiciele władzy:

- 1) Sław Aleksander - sekretarz KC PZPR do spraw mniejszości narodowych
- 2) Madej - sekretarz KW PZPR do spraw organizacyjnych (a nie łemko Merena)
- 3) Janek - kierownik wydziału społeczno – administracyjnego Prezydium WRN
- 4) Sroczyński - kierownik wydziału rolnictwa Prezydium WRN
- 5) Bojarski Grzegorz - przewodniczący Zarządu Głównego UTSK
- 6) Fudżak Jan - starszy instruktor Zarządu Głównego UTSK.

Bardzo burzliwe wystąpienia zapoczątkował sam Bojarski, sypiąc gromy na niewłaściwą i wrogą działalność niektórych działaczy i obwiniając ich za artykuły prasowe w amerykańskich i kanadyjskich czasopismach i za działalność „Komitetu Obrony Łemkiwszczyzny”. Mówił on... „tęsknota za górami, za rodzinnymi stronami również jest faktem, ale czy tylko to jest przyczyną nastrojów powrotowych, czy nie ma tu innych przyczyn? Ostatnio, zwłaszcza przy wyraźnej inspiracji emigracyjnych kół ukraińskich z USA jak na przykład „Łemko-Sojuzu” i jego organu „Karpatska Ruś” oraz tak zwanego „Komitetu Obrony Łemkiwszczyzny” w drodze rozwiniętej korespondencji... odbywa się gorączkowa krzątanina łemkowskich separatystów”! Po takim przywitaniu „ojca” organizacji, rozpoczęła się gorączkowa dyskusja, w której kolejno występowali, a ja starałem się te wypowiedzi zapisać jak najściślej dla historii, stosowanych metod naszego wyniszczania i to jak zwykle, rękami samych Ukraińców. Merena Dymitr z Nowej Soli: Dlaczego państwo polskie nie pozwala wysiedlonym na powroty? Co on jako nauczyciel ma w tej sprawie odpowiadać dzieciom w szkole, które codziennie stawiają mu takie pytania? On jest zdania, że powroty wysiedlonych byłyby korzystne także dla państwa i jako przykład podał swoją wieś Florynka, w której osadnicy nie umieją gospodarzyć, nie płacą podatków i ledwie wegetują. Stefanowski Paweł z Zielonej Góry: On nie zgadza się na powroty wysiedlonych, a jak już to najwyżej w pojedynczych

przypadkach, bo to wytworzyłyby problemy ogólne i z osadnikami. Halkowycz Konstanty - Gorzów Wielkopolski - sekretarz Zarządu Powiatowego UTSK: „Po raz trzeci przysłuchuję się tej walce o powroty. Konstytucję mamy demokratyczną, ale ona nas jakoś wcale nie obejmuje, bo dotychczas nam nie przywrócono niczego bezprawnie zrabowanego. On nie popiera w tych staraniach Wojewódzkiego Zarządu, bo on nie wszystkim się radzi, a skutek z tego taki, że nie wysłano do Nowego Sącza specjalnej komisji dla zbadania tam na miejscu możliwości powrotów, jak też zainteresowania się wrogim stosunkiem do nas w Nowym Sączu kierownika wydziału rolnictwa, Knapczyka, który nie tylko, że nikomu nie zezwala na powrót, to nawet na prośby w tej sprawie nie udziela żadnej odpowiedzi. Podawał liczne przykłady.

Merena Józef z Przemkowa mówił, że u nich w Przemkowie, Piotrowicach i innych trudno jest przekonywać ludzi do ukraińskiego nauczania. Chcieliby nauczanie po łemkowsku. Habura Lubomir z Nowej Soli skarżył się na postępowanie rzymokatolickich księży, którzy nie pozwolili jemu i rodzinie pochować na cmentarzu jego dziadka Garberę Jana. Mówił: „to tu nas biją, krzywdzą, nie pozwalają nawet po chrześcijańsku pochować i tam na swoje wrócić nam nie wolno”. N. N. nazwiska nie podała, bo się boi Polaków. Mówiła o bardzo ciężkiej sytuacji przesiedlonych we wsi Przesieka w powiecie Strzelce Krajeńskie. Osiedleni tam z akcji „W” ziemię otrzymali najgorszą. Sąsiedzi Polacy czynią im rozmaite szkody, w tym poprzez wypasanie bydłem. Demonstracyjnie wykrzykują, że my ludzie z akcji „W” nie mamy żadnego prawa. Gdy Śpiak Teodor poprosił o nie czynienie mu szkody, to został bardzo pobity i zwyzywany. Z pękniętą czaszką trafił do szpitala, a sprawa do sądu. Po wyjściu ze szpitala złożyli mu wizytę milicjanci. Zmuszali go o zaprzeczenie prawdy o pobicie i podpisanie wniosku o wycofanie sprawy z sądu. Po odmowie został przez tych milicjantów w swoim domu pobity. Następnie przywiązano go do ich rowera, zmuszono za nimi biec i też go bito. Pobicie i znęcanie się nad Śpiakiem Teodorem miało miejsce

24.X.1957 roku o godzinie 10-ej. Demaj Paweł, Rokitki powiat Złotoryja: o tym zebraniu dowiedział się i przyjechał specjalnie z województwa wrocławskiego, aby prosić władze i zwierzchnictwo UTSK o jaką pomoc, bo życie przesiedlonych u nich jest bardzo ciężkie. Pokazywał zebranym dużą ranę ciętą brzucha jeszcze krwawiącą, zadaną przez polską 10-osobową grupę z ich nienawiści narodowej do Ukraińców. Chciałby wrócić na swoje, to nie pozwalają. Kowalski Michał - Gorzów Wielkopolski - sekretarz Zarządu Wojewódzkiego UTSK wnosi żądanie, aby głos zabierali tylko członkowie Wojewódzkiego Plenum UTSK i ograniczali się tylko do spraw personalnych. Bagan Włodzimierz z Bogaczewa żąda pomocy w możliwości powrotu do jego rodzimej wsi Ulucz, która pozostaje bez żadnego zaludnienia. Mimo tego, otrzymał on odmowę. Kobelak Grzegorz z Zielonej Góry tłumaczył, że my z zielonogórskiego i wrocławskiego, nie mamy żadnego wpływu na „Homin Ukrainy” w Kanadzie, ani też nie dajemy im żadnych materiałów i nie możemy za pisanie tej gazety ponosić odpowiedzialności. Sanocka Julia z Nowej Soli mówiła: „aktyw w Zielonej Górze to ludzie młodzi, wychowani demokratycznie i nie można obrzucać ich epitetami nacjonalizmu”. W osobie Bojarskiego nie miała i nie ma nadziei na dopuszczenie przez niego do powrotów wysiedlonych. Stanowczo też odrzuca pomówienie jej przez Bojarskiego, jakoby kogoś ona miała nazwać Żydem. Natomiast potwierdza fakt, że kierownik sekretariatu Zarządu Głównego UTSK, Fiałkowski, powiedział do niej: „O, tam dla was droga na wschód”. Ona także uważa, że usuwać z Zarządu Wojewódzkiego Krynickiego i Kowalskiego nie należy, mimo że mają błędy. Kowalski Michał usprawiedliwia, że Krynickiego za wnioski obwiniać nie należy, bo w ich redagowaniu on udziału nie brał, a jedynie ich później podpisał. Krynicki Jan z Zielonej Góry usprawiedliwił, że z gazetą zachodnią „Homin” nikt z nich nie miał nic wspólnego. Ponadto krytycznie odniósł się do „Naszego Słowa”, a już specjalnie bardzo krytycznie do jej redaktora naczelnego, Mykoly Szczyrby, mówiąc: „Towarzysz Szczyrba to nawet nie jest polskim obywatelem,

bo z dokumentami osobistymi Związku Radzieckiego, a przybył do nas z Czechosłowacji i dlatego jego nasze sprawy nie obchodzą i obchodzić nie będą, a my w „Naszym Słowie” chcemy mieć głos w sprawach powrotów”.

Janek - kierownik Wydziału Społeczno – Administracyjnego Prez. WRN omówił stanowisko polityki partii i rządu polskiego także w odniesieniu do mniejszości narodowych i poddał krytyce „odchylenia” polityczne zielonogórskich działaczy UTSK. Merena Dymitr z Nowej Soli ostro skrytykował wystąpienie Janka słowami, że konstytucja, uchwały rządowe i partyjne powinny służyć jednakowo wszystkim obywatelom, a nie tylko Polakom. Tymczasem tak nie jest, bo mniejszości narodowe ze wszech miar są dyskryminowane, i o tym tu mówimy, a nas za to się karcą, krytykuje i potępia, zamiast niezwłocznie naprawić nam krzywdy. Hańczko ze Strzelc Krajeńskich mówił o bardzo trudnej sytuacji przesiedlonych. We wsi Dobiegniew, przesiedlonemu odmówiono pochówku na cmentarzu.

Hrywna Jan z Grębocic w powiecie głogowskim bardzo ostro wystąpił przeciwko artykułom Peruna Dymitra zamieszczanym w „Naszym Słowie” o treści przeciwko powrotom Łemków, bo ich ziemia jest już przydzielona Polakom i nie wolno ich niepokoić. Dodał też, że myśmy tam zostawili wszystko w gospodarczym ładzie i w pełni zagospodarowane i obsiane, a tu otrzymaliśmy gruzy porośnięte pokrzywami i bez podstawowych środków do życia. Nasze przesiedlenie było i pozostaje pogwałceniem wszelkich praw i oparte jest tylko na kłamliwych posądzeniach. Sroczyński z WRN twierdził, że z jego ramienia jako przedstawiciela władzy robiono, co było możliwe, aby zasymilowanie się przesiedlonych było jak najlepsze i nadal o to dba. Stawyski Andrzej z Raculi koło Zielonej Góry stawał w obronie całego aktywu, który jest obrońcą wszystkich przesiedlonych i ich praw, jako jedyny w bezprawiu. Kofla Jan z Dziećmiarowic w powiecie Szprotawa wnosił skargę, że nastawienie polskiego społeczeństwa przed i po naszym osiedleniu oparto na wroziej antybanderowskiej propagandzie i nadal pozostaje tak wrogie

i aż do tego stopnia, że często jest niebezpiecznie, a nawet wręcz niemożliwe spokojnie przejść publiczną drogą. Sanocka Julia z Nowej Soli przemówienie kierownika Janka poddała ostrej krytyce w całości i we wszystkich zagadnieniach wykazała brak jego dobrej woli i negatywny stosunek do mniejszości narodowych, które u niego nigdy i niczego pozytywnie załatwić nie mogą. To on nie dopusza, że Zarządy Powiatowe UTSK w Nowej Soli, Międzyrzeczu i innych, nie mają żadnej swojej „domiwy”. Madej z KW PZPR naświetlał socjalistyczną wspaniałomyślność partii i rządu w podejściu do rozwiązywania wszelkich problemów społecznych, a w szczególności do mniejszości narodowych, ale do tego wymagana jest odpowiednia postawa, bo odchylenia w zielonogórskim UTSK temu nie służą i destabilizują osadnictwo na ziemiach zachodnich. Bojarski Grzegorz ZG UTSK Warszawa: „Musimy sobie wyraźnie powiedzieć, że kiedy UTSK, dzięki słusznej polityce PZPR stara się dbać o kulturę i stabilizację przesiedlonych Ukraińców, to grupa łemkowskich separatystów najwyraźniej pod wpływem grekokatolickiego kleru, zagranicznych niedobitków ukraińskiego nacjonalizmu i olśniewających obietnic „Łemko-Sojuzu” dla Łemków w Polsce, pragnie w interesie pazernego imperializmu, destabilizować, podważać i niszczyć osiągnięcia naszej partii i UTSK oraz nawoływać przesiedlonych do żądania masowych powrotów na ich poprzednie miejsca. Nacjonalistyczni wichrzyciele i jawni wrogowie naszego socjalistycznego ustroju wszelkimi sposobami starają się działać na szkodę naszego ustroju i stabilizacji społecznej. Wylewają oni krokodyły łzy nad dolą Łemków w Polsce i wykorzystują ich uczucia przywiązania do rodzinnych stron. Znaleźli oni posłuch nawet u niektórych działaczy UTSK w Zielonej Górze, którzy piszą wnioski i podburzają ludzi do destabilizujących powrotów na dawne miejsca. Ten zewszec miar warcholski element z tutejszego UTSK powinien być usunięty, co poddaję pod przegłosowanie. Wynik tego głosowania był jednolity jako w 100 % przeciwny wnioskowi Bojarskiego z UTSK. Tak Bojarski jak też przedstawiciele partii i władzy, zostali w pełni

skompromitowani. Do mnie potem Bojarski i sekretarz Sław z KC PZPR mieli pretensje, że nie zabierałem głosu i nie udzieliłem im żadnego poparcia. Bojarski to fiasko musiał znieść we wściekłości. Decyduje się jednak ponownie jechać do Zielonej Góry - jak powiedział - usunąć z Wojewódzkiego Zarządu antyuteskatowskie elementy. Tym razem poleca zwołać zebranie tylko Prezydium ZW UTSK. Na tym posiedzeniu w swoim wystąpieniu ponawia wyjątkowo ostrą krytykę personalnej odpowiedzialności. W wyniku tego Krynicki zgłasza swoją rezygnację z przewodniczącego, a jednocześnie z dalszej działalności w UTSK. Jako drugi głos zabrał Michał Kowalski - dotychczasowy etatowy sekretarz ZW UTSK.

Oświadczył on, że w tym stanie rzeczy on oficjalnie i stanowczo zrzeka się z dalszej pracy w UTSK. Wszystko stało się w pełni jasne i wszystkim zrozumiałe. Odtąd Wojewódzki Zarząd UTSK w Zielonej Górze pod wpływem nacisku politycznego, przestaje pełnić swoją funkcję. Nastąpiło ponure milczenie i grobowa cisza. Jedynie pan Harasymenko – rodem ze wschodu, drżącym głosem z tego powodu wyraził swoje ubolewanie. Pod naciskiem Sława z KC PZPR i Bojarskiego, już następnego dnia to jest 21 listopada 1957 roku władze wojewódzkie Janka i Sroczyńskiego pojechały ze mną samochodem służbowym w teren, gdzie przy moim pokierowaniu mogły się przekonać o ich rażących zaniedbaniach i całkowitym braku ich opieki, opieki władz powiatowych i gminnych nad przesiedlonymi, ich bardzo trudnej sytuacji gospodarczej, społecznej i mieszkaniowej a także o zupełnym nie reagowaniu na ludzkie krzywdy, skargi i żale. Z tego złożyłem Bojarskiemu dokładne sprawozdanie, a w dniu następnym na jego żądanie zreferowałem to w oparciu o liczne przykłady na posiedzeniu w sekretariacie Komitetu Centralnego PZPR. Niektóre z tych przykładów podam tu w dalszym opisie, które zanotowałem w wyniku mojej pacy terenowej w różnych miejscowościach. Zielona Góra - Zarząd Wojewódzki. Skład osobowy stanowili:
Członkowie Plenum ZW UTSK:

1) Krynicki Jan - Zielona Góra

- 2) Czerhoniak Jan - Zielona Góra
- 3) Kułyk Stefan - Zielona Góra, ulica Drzewna 8
- 4) Kułyk Melania - Zielona Góra
- 5) Cidyło Anna - Zielona Góra
- 6) Bagan Włodzimierz - Zielona Góra
- 7) Hrycaj Jarosław - Zielona Góra
- 8) Hołowko Jan - Zielona Góra
- 9) Harasymenko Paweł - Zielona Góra
- 10) Hrywna Jan - zam. Grębocice, powiat Głogów
- 11) Habura Lubomir - Nowa Sól
- 12) Sanocka Julia - Nowa Sól
- 13) Stawiski Andrzej - Racula
- 14) Kisielewski Grzegorz - Buczyna, powiat Głogów
- 15) Kowalski Michał - Gorzów Wlp.
- 16) Dziubiński Antoni - Czerwińsk
- 17) Furtak Jan - Międzyrzecz
- 18) Potocki Jan - Róż. Gorzowskie
- 19) Polański Jan - Skwierzyna
- 20) Kyl Stefan - Lickień, powiat Strzelce
- 21) Jedynek Teodor - Brzoza
- 22) Merena Józef - Przemków, powiat Szprotawa

Prezydium Zarządu Wojew. UTSK w Zielonej Górze:

- 1) Krynicki Jan
- 2) Dziubiński Antoni
- 3) Kowalski Michał
- 4) Czerhoniak Jan
- 5) Kułyk Stefan
- 6) Harasymenko Paweł
- 7) Bagan Włodzimierz
- 8) Cidyło Anna
- 9) Hrycaj Jarosław

Komisja Rewizyjna ZW UTSK:

- 1) Stawyski Andrzej
- 2) Habura Lubomir
- 3) Kułyk Melania

Zarządy Powiatowe UTSK reprezentowali:

- 1) Strzelce Krajeńskie - Jewusiak Szymon, Przewodniczący
- 2) Gorzów Wielkopolski - Halkowycz Konstanty, Sekretarz
- 3) Skwierzyna - Dawyd Dymitr, Przewodniczący
- 4) Międzyrzecz - Furtak Jan, Przewodniczący
- 5) Świebodzin - Piech Stefan - Przewodn. i Habura Michał z-ca
- 6) Żagań - Juszcak Jan, Przewodniczący
- 7) Nowa Sól - Majczak Grzegorz, Przewodniczący
- 8) Głogów - Bodniewicz, Sekretarz
- 9) Szprotawa - Kofla Jan, Przewodniczący
- 10) Nowe Drzewce - Koło samodzielne - Maslej Maksym, Przewodniczący (powiat Wschowa).

Województwo wrocławskie.

W przeciwieństwie do rozpowszechnionego zrywu społecznego przesiedlonych w ramach Akcji „Wisła” i wysuwanych żądań w województwie zielonogórskim, gdzie utrzymała się aktywność terenowa silnie zintegrowana z ośrodkiem aktywu w samej Zielonej Górze, województwo wrocławskie nie zdołało w pełni wykorzystać swoich możliwości terenowych mimo dużej ilości rozmieszczonych tu przesiedleńców głównie w powiatach: Góra Śląska, Wołów, Lubiń Legnicki, Legnica, Środa Śląska, Oława i Oleśnica oraz częściowo Złotoryja. W województwie wrocławskim po nadzwyczajnych, bo wzruszających Zjazdach powiatowych, zabrakło odpowiedniej chęci organizatorów do podtrzymania zrywu tego działania ze strony wrocławskiego aktywu - możliwe, że z cichego nakazu władzy - a aktyw terenowy w powiatach był zdany tylko sam na siebie i bez

doświadczenia i wiedzy w uwarunkowanym działaniu niepewności swojego prawa w postępowaniu. Natomiast Zarząd Główny UTSK w rzeczywistości nie był zainteresowany rozwojem „swojej” ukraińskiej działalności a jedynie jej *n o r m o w a n i e m* w kierunku podporządkowania założeniom „realizacji słusznej polityki Partii i Rządu”. Poza tym strukturalna działalność nawet nie pachniała możliwościami chociażby najmniejszej możliwości swobodnego rozwoju i od początku była okiełzana „kantarem” zupełnego uzależnienia całego UTSK od dyrektyw PZPR w wykonaniu bardzo gorliwego inicjatora wyniszczania Bojarskiego, kontrolowana i w pełni finansowana z milicyjnego budżetu MSW. Stąd realizowano ukierunkowanie na „właściwe myślenie aktywu i nie dopuszczanie do organizowania powrotów w ogóle”. To powodowało, że nowe czy też powtórne Zjazdy przesiedlonych mimo wielkiego zapotrzebowania, nie mogły się powtarzać i były nieporządane. Zleceniobiorca i wykonawca I-ych Zjazdów teraz otrzymał zadanie dopilnować, aby się one nie powtórzyły i ukraińską działalność ograniczyć do kulturalnej w samym wrocławskim skupisku. Jego podporządkowanie się nie podlegało dyskusji tym bardziej, że był przecież etatowym oficerem MO. Nie rozumiał tylko, że nad nim także czuwano, aby w wyniku jego początkowego rozgłosu, nie mógł on stać się w UTSK znaczącą figurą, nad czym zobowiązano czuwać Bojarskiego. Tak więc do ramowych i zasadniczych obowiązków UTSK należało nie tylko nie dopuścić do żadnych powrotów ale tak, że rozproszonym proponować ukraińskie nauczanie z wyrachowaniem jego zaniku w założeniach, iż z różnych przyczyn nie zdoła się ono rozwijać a nawet czasowo utrzymać jako z góry skazane na asymilacyjne rozmycie i zanik istnienia. Zezwolenie na ukraińskie szkolnictwo stanowić miało istotny przyczynek dla odciążenia od żądań powrotów. W czasie, kiedy przesiedleńcy ze wschodnich terenów województwa rzeszowskiego i lubelskiego, a przesiedleni na tereny północno – zachodnie mogli się spotykać tylko zwykle w domach prywatnych i nie oficjalnie, bo penetracja środowiskowa za aktywem ukraińskich działaczy przez

służby UB i ich pomagierów - także rodzimych nie słabła, to przesiedleńcy z Łemkowszczyzny zachodniej i środkowej, a rozmieszczeni głównie w województwach wrocławskim i zielonogórskim, mogli sobie pozwolić na większą odwagę, która stąd doprowadziła do powstania UTSK. W czasie kiedy przewodniczący Zarządu Głównego UTSK, Grzegorz Bojarski z największą zawziętością rozbijał i niszczył przy pomocy najwyższych organów partii i administracji patriotyczny lemkowski aktyw skupiony przy Zarządzie Wojewódzkim UTSK w Zielonej Górze, to we Wrocławiu zgromadziła się duża ilość ukraińskiego aktywu, w tym studentów, i przejawiała coraz żywszą i systematyczną działalność społeczną.

Stąd mniej wysuwano żądań zbiorowych i petycji o powroty, natomiast większą część działalności oparto na spotkaniach towarzyskich i działalności ogólnokulturalnej. Dlatego też aktyw mógł korzystać z dużej tolerancji i zachować swoje organizacyjne istnienie. Działalność wrocławską od początku jej powstania oparto na skromnej nazwie „Komitet Kulturalno – Oświatowy Ukraińców” we Wrocławiu, do którego weszli:

- 1) Szost Bazyli, przewodn.
- 2) Piech Lubomir
- 3) Hubiak Irena
- 4) Bułyk Katarzyna
- 5) Jewusiak Ewgen, sekretarz
- 6) Gal Leon
- 7) Hawryluk Jerzy
- 8) Śpiak Mikołaj
- 9) Litewczuk Helena
- 10) Sniżko Florian
- 11) Dzwińczyk Piotr
- 12) Dziubak Stefan
- 13) Gandza Piotr
- 14) Truchan

- 15) Stach Michał
- 16) Małachowski Jerzy.

Duch patriotyzmu nie był tu mniejszy od zielonogórskiego, a wzajemne kontakty towarzyskie utrzymane wzorowo. Jednak bogatsi o doświadczenia z Zielonej Góry, gdzie Bojarski niczym groźny żandarm przy bezpośredniej pomocy i udziale organów partii i administracji z najwyższą arogancją brutalnie rozprawił się z legalnymi reprezentatami woli narodu, bezprawnie obrabowanego i wysiedlonego ze swoich domostw, dla osiągnięcia takiego samego celu a nie podlegającego odparciu, bo wysoce szczytnemu i jakże na czasie aktualnemu także politycznie, postanowiono odnieść zwycięstwo podwójnego rodzaju.

A mianowicie chciano zadać wykazanie zasadniczego kłamstwa w posądzeniach o antypolski i antyradziecki bandytyzm i jakoby jego wspieranie przez wysiedlonych. Wykazać masowy udział w walce z hitlerowską okupacją. Zażądać zapłaty za przelaną krew i poniesione straty w walce z hitlerowskim okupantem. Żądać anulowania wysiedlenia, naprawy krzywd i zezwolenia na powroty w rodzinne strony na koszt państwa.

Rozpoczęto więc starania o zezwolenie na legalne spotkanie we Wrocławiu weteranów wojennych byłych żołnierzy z Armią Radzieckiej, Wojska Polskiego i antyhitlerowskiego ruchu partyzanckiego. Otrzymano na to zgodę władz i Zjazd taki odbył się w świetlicy miejskiego Ratusza we Wrocławiu dnia 23 lutego 1958 roku z udziałem 407 delegatów z terenu całej Polski. Zrozumiałe, że rozgorzała na nim dyskusja nie ograniczała się do samochwalstwa wojaczki, lecz zaraz przerodziła się w ostrą krytykę i żądania naprawy krzywd. Tego się władza nie spodziewała, a tym bardziej usłyszeć nie chciała. Ponieważ Zjazd ten w oparciu o żądania delegatów podjął Uchwały i ze swoimi żądaniami zwrócił się między innymi do najwyższych władz w: Polsce, Moskwie, Ambasadzie Radzieckiej i Naczelnego dowództwa wojsk radzieckich w Polsce. Od żadnego z tych adresatów nigdy żadnej odpowiedzi nie otrzymano. Zjazd ten po jego odbyciu mimo uprzednich zezwoleń, uznano za nielegalny. Osoby

odpowiedzialne na udzielenie zezwolenia zostały ukarane. Zarząd Główny UTSK kierowany Bojarskim, do tego Zjazdu odniósł się bardzo negatywnie i udziału w nim nie brał ani też nikogo nie delegował. Z MSW Dymitr Perun podobnie. Na szczelbu władz centralnych wokół UTSK powstało nowe analizowanie sytuacji pod kątem pytania, jak skuteczniej przeciwstawić się antyuteskatowskiej działalności szczególnie wśród działaczy łemkowskich i nie dopuścić do realizacji ich żądań o powroty. Teraz sprawa ta stawała się pilna, a inicjatywy praktycznie osamotnionych w tym Bojarskiego i Peruna nieskuteczne. Nie zadość uczynienie żądaniom o powroty i naprawie krzywd przesiedleńczych nabierało rozgłosu zarówno w prasie krajowej jak też zagranicznej, a członkowie UTSK masowo występowali z tej organizacji. Na szczelbu centralnym Bojarskiemu udało się przekonać władzę i partię o wytworzeniu się wrogiej działalności „łemkowskiego separatyzmu”, z którym należy skutecznie się rozprawić. W wyniku tego, na wniosek Peruna niezależnie od innych wniosków, MSW wystąpiło w tym celu z inicjatywą pilnego ściągnięcia ze Lwowa Michała Cap - Dońskiego - powojennego oficera polskiego Urzędu Bezpieczeństwa i pośpiesznie przystąpiono do stworzenia mu pozytywnego autorytetu, mieszkania i wysokiej posady, co zrealizowano w błyskawicznym terminie. Uruchomiono także nabór do USKT nowych działaczy z wojskowej i administracyjnej kadry rzekomo bardzo skrzywdzonych za ich ukraińskie bądź łemkowskie pochodzenie i za to wyrzuconych z pracy w UB, MO, wojsku i partii. Ważnym i jako nową metodą rozbijania zorganizowanej w działaniu jedności u młodego wiekiem, a nie doświadczonego aktywu było jak najszybsze stosowanie rozmaitych pomówień, posądzeń i sianie niewiary o uprzednio wskazanych ludzi celem ich izolowania od społecznej działalności, nazywając ich różnorodnymi agentami. Takie podrywanie opinii, autorytetu i sianie bezzasadnej niewiary, wpływało na ograniczanie patriotycznej, a pozauteskatowskiej działalności, szczególnie u co wartościowszych osób. Jednak filarnym słupem w przeciwstawieniu się powrotom na swoje praojcowskie ziemie i

naprawie doznanych krzywd, po wrocławskim Zjeździe weteranów było nie notowane dotąd błyskawiczne opracowanie przez Bojarskiego i uchwalenie przez polski parlament Ustawy z dnia 12 marca 1958 roku (a więc już po 16 dniach od wrocławskiego Zjazdu Weteranów) o upaństwowieniu wszystkich gruntów i majątków, nie pozostających w aktualnym użytkowaniu przez pierwotnych właścicieli. W ten sposób w zupełności i ostatecznie przesiedlonych i nie tylko, pozbawiono wszelkich praw do wszystkiego swojego bez żadnego rozliczania i oszacowania to znaczy: nieruchomości, rzeczy ruchomych, lasów, stawów, dóbr społecznych, kulturowych a także wszelkich praw ich dziedziczenia. Ustawa ta ostatecznie rozdzieliła w Polsce prawa Polaków jako obywateli pełnoprawnych od obywateli będących lub wywodzących się z mniejszości narodowych. W ten sposób ustanowiono dalsze formy „prawa - bezprawia”, że właściciele bądź ich spadkobiercy, jeżeli są Polakami czystej polskiej krwi i przebywają za granicą jak w USA i innych, to swoim majątkiem i innymi dobrami w kraju mogą dysponować bez żadnych ograniczeń. Innych obywateli polskich, zarówno dawnych jak też nadal aktualnych, ale wywodzących się z mniejszości narodowych, tych praw pozbawiono. Taki stan rzeczy i teraz w Polsce musimy nadal znosić jako ludzie podlegli tej samej Konstytucji, a w rzeczywistości bardzo dyskryminowani o uzasadnionym poczuciu krzywdy.

Sprowadzony do Polski Michał Doński - wyraźnie dla potrzeb PZPR i jej Administracji, już od pierwszych dni swoją działalność rozpoczął od gabinetowych rozmów kolejno od: MSW, KC PZPR, UTSK, a następnie na branżowo podobnych szczeblach wojewódzkich. W Zarządzie Głównym UTSK Bojarski utworzył Łemkowską Sekcję a Dońskiego mianował na jej przewodniczącego. Dysponował on adresami i charakterystyką łemkowskich działaczy i zaraz przystąpił do składania im wizyt. Do pomocy dobrał sobie - Pawła Stefanowskiego, Teodora Gocza i Jarosława Merenę, a także dorywczo Jana Madzika. Przy ich pomocy przyczynił się do jakże kontrowersyjnego rozdysponowania pomocy z „Łemko-Relifu” z USA

w dolarach i paczkach. Niezależnie od zainstalowania pod szyldem „Łemkowskiej Sekcji” Dońskiego z jego kolegami, jednocześnie wdrożono działalność poszczególnych aktywistów z grupy „krzywdzonych”. W planach Bojarskiego, to razem miało skutecznie powstrzymać nacisk żądań o powroty. Ci ostatni w swoich cywilnych rolach zachowali się różnie, na przykład byli oficerowie: Woroniak zadowolił się stołkiem urzędnika i do żadnej działalności społecznej się nie włączył, ale inni nawet zabłysnęli, szczególnie od drugiej połowy 1958 roku, to jest po naradzie w KC PZPR z łemkowskim aktywem partyjnym i nałożeniu na niego obowiązku w zwalczaniu przejawów separatyzmu i rusiństwa. Paweł Stefanowski jest i nadal w różnych formach swojego „działania” znany na tyle, że wystarczy wspomnieć, że dla niego nic nie było świętym i nie gardził niczym, co mogło dać materialne korzyści. Lewko Gał nie zważał na trudy i zdrowotne cierpienia i do końca życia zachował swój gorący patriotyzm i stał w obronie krzywd ukraińskiej ludności. Taktyka Szosta zawsze była kontrowersyjna i może tu uszłaby mojej uwadze gdyby nie jego list do inżyniera Mikołaja Halczaka w Zielonej Górze. Szost dowiedziawszy się, że wójkowie z Ameryki, Koban i Merena przysłali swoim kuzynom M. i Z. w listach po 10 dolarów, wysłał list do tych adresatów przez M.H. o aroganckiej treści, jak to on się brzydzi tymi jego przyjaciółmi, których to nie dość, że cechują trockistowskie poglądy, to jeszcze robią się działaczami za dolary. Stefanowski natomiast usiłował uchodzić za działacza tylko łemkowskiego i niekiedy antyukraińskiego. Jego „działalność” dostatecznie obrazuje plagiat Deklaracji oraz prowokacyjny „Zjazd” Rusinów w Głogowie i inne sytuacje. Natomiast były podoficer UB z Krakowa, Władysław Worhacz (rodem z Florynki) w 1960 roku na łemkowskich działaczy zorganizował u siebie „kocioł”. Do żadnej wpadki nie doszło dzięki Piotrowi Fecicy tak, że ten Worhacz ze Stefanowskim daremnie czekali na swe ofiary. Na ten okres przypada odnotowanie u działaczy łemkowskich licznych dziennych i nocnych rewizji domowych... za wycinkami z zagranicznych gazet. Za posiadanie wycinka gazety i jedną

korespondencję do takiej gazety w USA, Michał Kowalski z Gorzowa Wielkopolskiego otrzymał 6 lat więzienia. Natomiast ja - piszący te wspomnienia, wyłącznie w oparciu o próby, jakoby miał nawiązać korespondencyjny kontakt z ukraińskimi nacjonalistami w USA i rzekomo posiadać jakiś pistolet, stanąłem pod zarzutem artykułu polskiego Małego Kodeksu Karnego (dla zbrodniarzy wojennych i wrogów socjalizmu), to jest do kary śmierci włącznie i przez trzy lata pod nadzorem UB byłem męczony w różnych więzieniach PRL (w Rzeszowie, Sanoku, Potulicach, Mrowinie, Poznaniu i Rawiczu), w których prokuratorzy obiecywali natychmiastowe zwolnienie jak zgodzę się podpisać, że Michał Doński był komendantem naszej antyhitlerowskiej partyzantki, a ja jakoby byłem jego łącznikiem. Upartość odmowy potwierdzenia tego kłamstwa przypłaciłem utratą zdrowia i trwałym kalectwem (II-a grupa inwalidztwa).

Wyjaśnienia wymaga jeszcze tak zwany „łemkowski seperatyzm” - istniał, czy go nie było? Otóż wśród starszego pokolenia, i do dziś zachowały się przekonania „my ne Ukraińcy bo my Rusyne, Rusnaky” wsparte także na czytelnich imienia Kaczkowskiego i konstruowaniu Floryńsko - Preszowskiej Autonomii Ruskich Narodnich Rad. Po Akcji „Wisła” i propagandowej nagonce na Ukraińców przyjęło się, jako unik obronny - my „Łemkowie”. Jednak późniejsza działalność i utworzenie UTSK, początkowo zatarły podziały na rzecz zrozumienia, że tak Łemkowie, Rusini czy świadomi Ukraińcy jako jedna wspólnota zostaliśmy wspólnie poddani brutalnemu obrabowaniu i wyniszczającemu wysiedleniu za inność swojego pochodzenia i wyznawanej wiary.

Ta ciężka krzywda ostatecznie nasze podziały definitywnie winna połączyć, i tak stałoby się, ale na przeszkodzie w odniesieniu do Łemków stanęły dwie zasadnicze przeszkody „tworzące seperatyzm”:

1) mania wyższości Ukraińców „literackomownych” a wątpliwie kulturalnych, nad „łemkowską” besidą oraz jej samozachowawczą tradycją i jej poniżanie. Łemkowie od Ukraińców w rzeczywistości

nigdy nie doznali we współżyciu szczerości życzliwej i bratniej duszy, natomiast dobrze zapamiętali doznawane z ich strony krzywdy, do których między innymi zaliczają często brutalne postępowanie prohitlerowskiej ukraińskiej policji „siczowików”, a także obecną sytuację. W redakcji „Naszego Słowa” jak też w ZG UTSK czy w Związku Ukraińców nie było i nie ma miejsca zatrudnienia dla nikogo z Łemków mimo, że to oni byli awangardą powstania UTSK. Hryhoryj Bojarskij to także Ukrainiec i w prostej linii okrutny wróg Łemków, który z nadzwyczajną wściekłością uruchamiał partyjną i państwową administrację dla niedopuszczenia do powrotów wysiedlonych oraz nie naprawienia im krzywd. To wyłącznie z jego inicjatywy polski Rząd 12 marca 1958 roku, Uchwałą „bezprawnego prawa” pozbawił nas wszelkich praw własności i praw dziedziczenia naszych dzieci, tak tych w kraju jak też żyjących na obczyźnie, według naszego - ich pochodzenia, obrządku wiary i za przyczyną wysiedlenia. Jak jesteśmy traktowani przez obecnych redaktorów „Naszego Słowa”, chociażby za przykładem „Łemkiwskiej storinky” - komentarza nie wymaga. Do UTSK początkowo wstępowali zgodnie wszyscy bez żadnych podziałów i „separatyzmu”. Wnet jednak przekonano się, że organizacja ta całkowicie pozostaje na służbie władzy w naszym wynarodowianiu i utrwaleniu doznanych nami krzywd, i to bez zachowania w tym wyniszczaniu nawet żadnych pozorów. Kiedy zamiast opieki i pomocy, kierownictwo ZG UTSK wbrew założeniom i statutowi, wspólnie z organami administracji państwowej przystąpiło do ostrego i bezpośredniego rozprawiania się z co aktywniejszymi działaczami i całymi swoimi legalnie wybranymi Oddziałami, w terenie nastąpił organizacyjny regres i niemal masowe odchodzenie od członkostwa i działalności w UTSK. Swoją bezradność w wytworzonej sytuacji Bojarski ze Szczyrbą i Korolkiem okrzyknęli „wrogą działalnością łemkowskich separatystów”, przeciw którym rozpoczęto ostrą nagonkę i brutalne przeciwdziałanie. Bojarski przez 4 dni w swoim gabinecie nie był dostępny dla nikogo, bo pisał długi artykuł, by opublikować go w prestiżowym wówczas wydaniu KC

PZPR. Był on drukowany w kwartalniku „Nowe Drogi” nr 8 (110) w sierpniu 1958 roku na stronach 46 – 62 jako artykuł Aleksandra Sława - sekretarza KC PZPR do spraw mniejszości narodowych. Najbardziej dokuczliwym okazał się artykuł o przesiedleniu zamieszczony w amerykańskiej „Karpatskiej Rusi”. Do separatystów nie można zaliczyć grupy działaczy antyuteskatowskich Ukraińców, która w swoim taktycznym działaniu występowała niekiedy jako społeczny ruch Rusinów – Łemków, szczególnie w rozmowach informacyjno – kurierskich w obcych zachodnich przedstawicielstwach w Polsce, ale tylko do czasu, kiedy o naprawie krzywd wysiedlonym zdecydowano się złożyć petycję także w Ambasadzie Związku Radzieckiego. Tą podziemną robotą kierowali wybitni działacze ukraińscy: Adrian Hoszowski (zatepca redaktora naczelnego „Nasze Słowo”) i Stefan Makuch - I-wszy przewodniczący ZG UTSK i ich bezpośrednio dyspozycyjni: Jan Fudżak, redaktorzy Zynyczowie oraz liczna grupa w województwach, do których oni także docierali na przykład Hoszowski do Gorlic, Sanoka, Przemyśla i Rzeszowa, a Makuch do Wrocławia, Zielonej Góry i Krakowa. Wiele obowiązków kurierskich i organizacyjnych powierzano mnie tak na miejscu, jak i w terenie. Na dzień uchwalania Ustawy 12.III.1958r. Makuch przygotował do wystąpienia pod sejmem PRL protestującą demonstrację, jednak w oparciu o rozeznanie Hoszowskiego, została ona odwołana, bo w tym czasie nie dałaby żadnego skutku, a jej uczestnicy znaleźliby się w więzieniach. Grupa ta nigdy nie była wykryta poza jednym przypadkiem, że wychodząc z Ambasady ZSRR i chyba za jej powiadomieniem, towarzyszyły nam „stupajki” po cywilnemu, a pozostawiony w rękach sekretarza Ambasady (Deklaracja Łemków – Rusinów w Polsce), już po kilku dniach znalazła się w rękach Pawła Stefanowskiego w Zielonej Górze i posłużyła mu do organizacyjnego plagiatu. Treść tej Deklaracji oraz wiernej treści plagiat, znajdzie czytelnik na końcu tych wspomnień.

W wyniku postulatów I-go Zjazdu i późniejszych z terenu, Ministerstwo Oświaty PRL dnia 4 grudnia 1956 roku wydało Zarządzenie

zezwalające na nauczanie ukraińskiej mowy w szkołach publicznych wszędzie tam, gdzie rodzice zgłoszą do wydziałów oświaty takie życzenie, a liczba dzieci będzie nie mniejsza niż 7. W rezultacie tego w 1958 roku istniało w Polsce 40 szkół nauczania początkowego z ukraińskim językiem wykładowym, a w 152 szkołach wprowadzono naukę języka ukraińskiego jako przedmiot. Ponadto działały już trzy ukraińskie szkoły średnie: jedna pedagogiczna i dwie ogólnokształcące. Liczba uczniów w tych szkołach przekroczyła 3 tysiące. Był to szczytowy rozwój ukraińskiego szkolnictwa w Polsce okresu po przesiedleniu, który wnet ulegał zmniejszaniu w miarę antyukraińskiego mobilizowania się polskiego społeczeństwa i administracji terenowej, w tym oświatowej do najrozmaitszego przeciwdziałania. Wiodącą rolę miał w tym element repatriacyjny ze wschodu, tak jego osadnicy wiejscy, jak też rekrutująca się z nich administracja terenowa w tym często pedagogiczna i oświatowa.

W mojej działalności terenowej niemal wszędzie spotykałem się z najrozmaitszymi przejawami ucisku, wykorzystywania, znęcania się, poniżania i dyskryminacji przesiedlonych, zarówno ze strony polskiego społeczeństwa jak też administracji i kościoła. Do zasadniczych przyczyn takiej sytuacji należy zaliczyć: 1) Nagłaśnianie środkami masowego przekazu stereotypu Ukraińca jako rezuna i bandyty. 2) Przed przybyciem przesiedlanych były przeprowadzane informacyjne zebrania o tym, że osiedlane będą tam rodziny ukraińskie z band UPA. 3) Inwigilacja osiedlanych. We wsi Miroszewice jej mieszkaniac Wojciech Stypka narzekał, że często zjawiają się u niego funkcjonariusze z UB z Lubinia i zmuszają go do podsłuchiwania i śledzenia przesiedleńców z akcji „W”.

Do bardzo przykrych sytuacji należy zaliczyć fakt, że przesiedlenie nasze w całości i wszędzie było zaplanowane i realizowane w takim czasie, aby pole przesiedlanych gospodarstw było całkowicie zagospodarowane to jest obsiane i zasadzone. Osadzeni w rozwalonych poniemieckich domach Łemkowie zwykle nie mieli co jeść, a Państwowy Urząd Repatriacyjny o nich nie zadbał.

Daremnie też szukano pracy, aby przeżyć. W Międzyrzeczu niejaki Radowski niekiedy zatrudniał po kilka osób dziennie. Chętnych było wielu, z których on wybierał sobie silniejszych, a do pozostałych zwykł mówić „wy łemkowskie świnię won do domu!” przy tym gwizdnął i wskazał ręką kierunek odejścia - opowiadała o tym z płaczem żona Jana Furtaka. Podobnych przypadków prześladowań i upokorzeń było bez liku, a przesiedleńcy przestraszeni przeżyciami, nie znając polskiej mowy i swoich praw, cierpieli. Nie można nie wspomnieć, że w wyniszczaniu narodu ukraińskiego w Polsce, w tym Łemków, miał swój udział i w pełni w tym dotrzymywał „kroku” ówczesnej i późniejszej władzy, także rzymokatolicki kościół, zarówno instytucjonalnie jak i poprzez masowy udział w tym swoich wiernych. Zarówno hierarchia zwierzchnia kościoła w Polsce, jak też żaden ksiądz nie zdobyły się na słowa krytyki dokonanych wobec nas zbrodni czy słowa potępienia, a zdarzało się wcale nierzadko, wręcz często udziału kleru w antyukraińskim podsycaniu do nienawiści a nawet udziału w zbrodniach bezpośrednio (ks. Żurawski, Szul, Mastej). Polski kościół rzymokatolicki nigdy i ani słowem nie stanął w obronie mordowanych księży współbraci tej samej wiary ale innego obrządku. Przykładów takich zbrodni dokonanych na duchownych w ich parafiach czy w Jaworznie - obozie zagłady, można by podawać dziesiątkami. Przychodząc z pomocą, wspólnie z komunistyczną władzą PRL wspomaganą przez swoich wiernych w masowym niszczeniu setek cerkwi, cerkiewnego majątku, liturgicznego dobra oraz duchowej kultury, a także w przejmowaniu cerkwi i majątku na swoją własność, przy podtrzymywaniu najgorszych fałszywych oskarżeń ich dotychczasowych właścicieli. Do tego czasu kościół katolicki zachowuje zupełne milczenie o rzeczywistej prawdzie, że Łemkowie nie zabili ani jednego polskiego księdza ani też nie spalili ani jednego polskiego kościoła.

Do tego czasu społeczeństwu i swoim wiernym, wespół z władzą była jak i obecnie, nie powiedziano prawdy. Nie protestowano także z faktu, że pomniki Świerczewskiemu w Bieszczadach i w Przemyślu

zbudowano z rzeczy poświęconych w imię tego samego Boga i wyznawanej wiary a to: cerkiewnych dzwonów, świeczników, monstracji, lichtarzy i kielichów. Społeczność ukraińska w Polsce z przykrością konstatuje prawdę, że na Ukrainie niemal masowo zwracane są Polakom ich dawne kościoły, natomiast w Polsce kościół Ukraińcom ani jednego. Życie nasze jako mniejszości w Polsce jest trudne co najmniej podwójnie, bo nie tylko, że bezprawnie nas wysiedlono, bezpodstawnie pozbawiono praw stanu ojcowskiego posiadania i dziedziczenia, utrudnienia w poszukiwaniach pracy z powodu nacji i wiary, to nadto nieprzychylnie i nieżyczliwie interpretowano obowiązujące przepisy celem utrudnienia w załatwianiu sprawy. Dla przykładu podaję tu pełny odpis takiego mało życzliwego pisma w sprawie koła UTSK:

„Nagłówkowa pieczęć podłużna: Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Sanoku Wydział Społeczno – Administracyjny Nr Sa I/8/3/58 Sanok dnia 18 stycznia 1958 r. Do Obyw. Marcza Włodzimierza w Sanoku ul. Słowackiego 57. W załatwieniu tamt. podania z dnia 16 września 1957 w sprawie założenia UTSK z siedzibą w Sanoku zawiadamia się, że na podstawie art. 13 i 41 prawa o stowarzyszeniach z dnia 27.I.1932 Dz. U.R.P. Nr 94 poz.808 - nie ma zastrzeżeń co do jego założenia. Kierownictwo Zarządu ma obowiązek w 2-tygodniowym terminie zawiadomić władzę Administracyjną o każdorazowej zmianie swego stanu osobowego Zarządu, o ilości członków, adresu Zarządu i statutu stowarzyszenia, licząc termin powyższy od dokonania zmiany. Należy również przesyłać odpisy protokołów o działalności stowarzyszenia po każdym odbytym zebraniu. Na podstawie art.15 powołanego wyżej prawa, Zarząd obowiązany jest prowadzić - utrzymując w stanie aktualności, imienny spis członków Stowarzyszenia z zaznaczeniem przynależności partyjnej i dostarczyć władzy na jej żądanie. Pieczęć podłużna treści: Kierownik Oddziału Społeczno-Administracyjnego - podpis własnoręczny nieczytelny”.

Kierownik takiego Oddziału w Gorlicach Stanisław

Tenerowicz podobne żądanie poszerzył o podawanie mu adresów prywatnych wszystkich członków oraz ich miejsca pracy i zakładu ich zatrudnienia. Komentarze powyższego są zbyteczne a warunki działania w pełni zrozumiałe! Bariera językowa i obyczajowa wyraźnie utrudniała „ukraińskomownym” intruzom penetrowanie środowiska działaczy i działalności wśród Łemków, którzy nawet w szczegółach wymowy rozpoznawali się według dawnych swoich środowisk i wiosek. Wyszukiwanie na rodzimych „rozwalaczy” wśród Łemków, a pod szyldem UTSK czy później ZUwP nie przyniosło większych rezultatów, a liczebny ich brak, zmusił ich do jawnej arogancji, brutalności oraz działania poza obowiązującym prawem, wbrew woli i interesowi własnego narodu, w tym pogwałcenia statutowych obowiązków oraz zupełnego nie realizowania Uchwał swojego Zjazdu, z prowodyrskim dokonaniem dyktatorskiego zamachu na własną organizację na przykładzie „Zjednoczenia Łemków” dla ich „rozzjednoczenia”, dalszych podziałów i skłócenia.

Powrócę do opisu chociaż we fragmentach ówczesnej sytuacji i mojej działalności w ZG UTSK. Zamiast opisu, posłużę się dokumentami z kilkudziesięciu wstępem koniecznym dla ich należytego zrozumienia.

Już w piątym dniu mojej pracy w ZG UTSK brałem udział w posiedzeniu Komisji Ministra Tkaczowa, gdzie powierzono mi pisanie protokołu. Tu należy wspomnieć, że wszelka dokumentacja i sprawozdawczość w UTSK w Warszawie zgodnie z obowiązkiem, musiała być prowadzona wyłącznie po polsku.

„P r o t o k ó ł z drugiego posiedzenia Komisji powołanej Zarządzeniem Prezesa Rady Ministrów nr 103, odbytego w Warszawie dnia 5 kwietnia 1957 roku. (Obecnych nie przedstawiano). Po słowie wstępnym wygłoszonym przez wiceministra Tkaczowa i podaniu porządku obrad, do którego żadnych zastrzeżeń nikt nie zgłosił, przedstawiciele: „Pełnomocnicy Rządu do spraw zagospodarowania ziem południowo – wschodnich” przystąpili do omawiania statystycznych danych, podanych w formie tablic każdemu z

uczestników narady z działalności i stanu poszczególnych województw. Po wyjaśnieniu przez referującego sprawy województwa rzeszowskiego i odpowiedzi na kilka pytań zadanych przez redaktora Hoszowskiego, żadnych innych pytań i uwag nikt nie wnosił i sprawozdanie Tkaczowa zostało przyjęte. Sprawozdanie z województwa lubelskiego przewodniczący ZG UTSK Bojarski uznał za zbyt lakoniczne i nie dające pełnego obrazu o ilości wolnych gospodarstw, które mogłyby być do nadania. W zastępstwie pełnomocnika województwa krakowskiego sprawozdanie odczytał Goliszkievicz z Zarządu Urzędów Rolnych Wojewódzkiego Zarządu Rolnictwa, z którego wynikało, że poza drobnymi wyjątkami, nie ma możliwości osiedlenia chcących powracać. W dyskusji poruszono sprawy województwa rzeszowskiego, gdzie osiedlający się nie wykorzystują kredytów na zagospodarowanie, bo na przykład w gorlickim na przyznanych 10 mln złotych, pożyczki wzięto tylko na 1 mln. Jeszcze gorzej przedstawia się tam wykorzystanie materiałów budowlanych, bo bez żadnego wykorzystania pozostaje tam 30 tysięcy metrów kwadratowych drewna. Redaktor Hoszowski wniósł zastrzeżenia i sprzeciw w sprawie planu przekazania dużej ilości uprawnej ziemi pod planowane nadzwyczajne poszerzenie Tatrzańskiego Parku Narodowego, zbyt duże przestrzenie góralom na wypasy owiec i pod duże tereny dla Szkół Rolniczych, a więc pod sztuczne rozdysponowanie dla celowego tworzenia podstaw odmowy pragnącym powracać. Stawia on wniosek i domaga się przeanalizowania spraw możliwości osiedleńczych w każdej wsi z osobna i komisyjnie z udziałem ludności ukraińskiej biorąc pod uwagę, czy nadane osadnikowi gospodarstwo rolne jest przez niego właściwie użytkowane i czy osadnik jest z zawodu rolnikiem. Hoszowski kwestionuje także formę rozdysponowywania wolnej ziemi poprzez naciski na upelnorolnienia gospodarzy osadniczych, gdyż jest zdania, że każdemu wysiedlonemu powinna być zwrócona jego dawna posiadłość. Przyjęty plan pracy dotyczący poszczególnych miejscowości na linii Gorlice - Ustrzyki uważa za niewłaściwy, bo

powinien opiewać Gorlice, Jasło, Krosno. Podał także w wątpliwość ilość ha gruntów, które mają być przekazane Państwowym Gospodarstwom Rolnym i Państwowemu Funduszowi Ziemi, gdyż w gazecie „Trybuna Ludu” opublikowano zgoła inne ilości. W odpowiedzi Horszowskiemu, kierownik Urzędzeń Rolnych Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, Gdula zajął nieprzejednane stanowisko w sprawie konieczności uzupełnienia gruntami dotychczasowe gospodarstwa osadnicze, w czym natychmiast poparł go inżynier Izdebski z Lublina, który także uważa, że upelnorolnienia polskich osadników wymaga polska racja stanu i dlatego ta sprawa nie może podlegać żadnej dyskusji. Cyfra ilości ha ziemi mająca być przekazana PGR-om i PFZ- tom jest lokalnie ostateczna, zaś ilość ha przedstawiana na zebraniach dla celów specjalnych jest przybliżona. Co do planów miejscowości, które w pierwszym rzędzie musiałyby być uregulowane co do stanu posiadania użytkowników, to był on konieczny ze względu na silny napływ ludności, powracających do tych miejscowości. Bojarski zwrócił uwagę na niewłaściwe ustosunkowanie się władz terenowych do mniejszości narodowych, na co dysponuje licznymi dowodami odmowy chcącym powrócić mimo, że są jeszcze wolne gospodarstwa w województwie rzeszowskim. Dotychczas nie rozwiązana sprawa pozostaje brak prasowej publikacji o możliwościach osadniczych na przykład w powiecie gorlickim.

W wyniku sprawozdania z województwa krakowskiego, Bojarski proponuje wysłanie delegacji ukraińskiej w celu stwierdzenia stanu i ujawnienia przypadków, że o możliwości powrotu wysiedlonego decydują nie tylko lokalne władze, ale także i łaskawa wola osadników danej wsi. Przedstawiciel województwa lubelskiego Mikołaj Korolko alarmuje o masowych powrotach do północnych powiatów tego województwa, co utrudnia nadawanie osadnikom gospodarstw i wytwarza chaos. Za taki stan rzeczy Korolko, podobnie jak przedstawiciel Rzeszowa obwinia brak regulowanej informacji prasowej i brak pracy na rzecz stabilizacji ukraińców na ziemiach

zachodnich i w ten sposób skutecznego przeciwstawienia się powrotom. Powyższe, jak też brak odpowiednich artykułów w prasie polskiej i ukraińskiej - twierdzi Korolko - powoduje dalsze samowolne powroty, które nie wiadomo jak ukrócić. Należy się spodziewać, że po powiatach w województwie lubelskim, gdzie wysiedleni powrócili już w 80 - 90%, na wiosnę zacznie się silny masowy napór wysiedlonych do powiatów południowych w województwie rzeszowskim.

Korolko domaga się ogłoszenia w prasie o zakończeniu akcji powrotów wysiedlonych na ich dawne miejsca. Tak Korolko, jak też przedstawiciel z Rzeszowa podkreślali, że powracający nie wyrażają zgody na przyjmowanie ziem z nadziału i żądają wyłącznie ich własnych. Śmietanowska z Biura Skarg i Zażaleń przy Urzędzie Rady Ministrów potwierdza wystąpienie przedstawiciela z Krakowa, że tak w nowosądeckim, jak też w nowotarskim nie ma żadnych wolnych ziem a więc i żadnych możliwości dla chcących powracać tam wysiedlonych. Podkreśliła także, że jako inspektor do spraw badania skarg, często jeździ do województwa krakowskiego i olsztyńskiego i stwierdza, że powodem chęci powrotów wysiedlonych jest często negatywny stosunek do przesiedlonych zarówno ludności polskiej, jak też i terenowych władz gminnych, powiatowych i wojewódzkich. Następnie głos zabrał Tkaczow. Podał on ostrej krytyce wszystkie wnioski, zapytania i sugestie redaktora Horszowskiego stwierdzając, że są one nie do spełnienia a zwłaszcza żądania anulowania aktów nadania dotychczasowym użytkownikom, co sprowadzałoby się do unieważnienia państwowego Dekretu z dnia 27 lipca 1947 roku. Szczegółnej krytyce poddał on „Nasze Słowo” za to, że ma ono możliwość i powinno zająć się pisaniem o stabilizacji przesiedlonych, a nie pisać o możliwościach powrotów na swoje. Wiceminister Tkaczow powiedział, że województwo krakowskie dla ludności wysiedlonej jest zamknięte ze względu na brak wolnej ziemi. W celu powstrzymania powrotów, na ziemiach zachodnich należy wprowadzić system udzielania kredytów bankowych ale zwrotnych. Ze względu na krótki okres dzielący nas na ludności tych ziem przez

nacjonalistyczne bandy ukraińskie, tereny do zasiedlania muszą tam być wybierane. Perspektywiczny plan działania na rok 1958 przedstawił delegat z województwa rzeszowskiego. Przedstawiciel województwa lubelskiego, jakoby niedoinformowany przez inż. Wróblewskiego, przedstawił plan rozwoju gospodarczego województwa, bez uwzględnienia możliwości powrotów wysiedlonych na te tereny. Następnie Tkaczow odczytał zebraniem projekt pisma ogólnego do Wojewódzkich Rad Narodowych w sprawie jednolitej i właściwej interpretacji w przestrzeganiu wykonywania Dekretu z 27.VII. 1949 roku, które po zaakceptowaniu przez ministra rolnictwa zostanie przesłane wojewódzkim Radom w celu stosowania się do niego. Wspomniano dla przykładu o konieczności w wyjątkowych wypadkach anulowania dekretu i już wydanych aktów nadania na rzecz zwrotu posiadłości upominającym się (Polakom) na przykład Pikulickiemu i Annie Fill oraz innym w województwie rzeszowskim. W podsumowaniu narady Tkaczow prosił, aby prasa polska a zwłaszcza ukraińska nie dawała nadziei przesiedlonym ukraińcom na możliwość ich powrotów. Celem powstrzymania powrotów poleca on tak w prasie, jak i specjalnie w tym celu organizowanych zebraniach wyjaśniać przesiedlonym o braku możliwości ich powrotów a nadto, że w wypadku zrzeknięcia się posiadłości na ziemiach zachodnich, państwo z punktu prawnego nie jest zobowiązane do nadania gospodarstwa na ziemiach południowo - wschodnich. Na zakończenie Tkaczow podał zebraniem dla ich zapoznania się z opracowaną przez siebie tabelą sytuacji osiedleńczej na gruntach powysiedlonych uprzedzając, że jest ona niedokładna. Na tym zebranie zakończono. Dziennik „Nowiny Rzeszowskie” nr 94 z dnia 19.IV.1958 na stronie 3 napisano: ile ziemi i na jakich warunkach w województwie rzeszowskim sprzeda Bank Rolny. Jak informuje Oddział Wojewódzki Banku Rolnego, na terenie województwa rzeszowskiego znajduje się około 80 – 100 tysięcy ha ziemi, która w myśl ostatniej uchwały rządu przeznaczona będzie do sprzedaży. Z sumy tej przypada na powiat: Ustrzycki 24 tys. ha, Lesko 21, i 13 tys. na Sanok oraz po 5 tys. ha

na Jarosław i Krosno. W dalszej części artykułu podaje się szczególne warunki nabywania gruntów i udzielania pożyczek oraz wszelkich innych dogodności, co sprowadza się do stwierdzenia, że osadnicy mogą ją nabywać niemal za darmo wraz z zabudowaniami byle by pośpiesznie spolonizować i to w czasie, gdy różnymi metodami i zarządzeniami, w tym także przy wydatnej pomocy UTSK nie dopuszcza się możliwości oddania pragnącym powracać prawowitym właścicielom. Wydano specjalną Uchwałę o zupełnym upaństwowieniu (12 marca 1958). Przy zastosowaniu nacjonalno - organizacyjnych czystek w zielonogórskim i wrocławskim UTSK, dopuszczono się ostrych represji w stosunku do chcących domagać się rozliczenia i prawa na powroty.

W wydawanej w USA łemkowskojęzycznej gazecie „Karpatska Ruś” ukazał się artykuł, który po prostu rozwścieczył łemkowskich opiekunów w Polsce to jest: Departament Społeczno-Administracyjny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w osobie Dymitra Peruna, sekretarza KC PZPR do spraw mniejszości narodowych Aleksandra Sława, a szczególnie przewodniczącego ZG UTSK Grzegorza Bojarskiego. Tłumaczenie tego artykułu przez Bojarskiego dla jego interpretowania w KC PZPR podaję w pełnej treści: „Zdrowy nurt młodzieży łemkowskiej w UTSK Zielonej Góry”. Po długich tarciach i braku współpracy pomiędzy UTSK w Zielonej Górze, a ZG UTSK w Warszawie, dnia 3 listopada 1958 roku zwołano nadzwyczajne Plenum w Zielonej Górze, na którym najważniejszą sprawą Zarządu Głównego, MSW i władz miejscowych było zawiesić dalszą działalność Towarzystwa Ukraińskiego w Zielonej Górze. Ostatecznie domagano się natychmiastowego usunięcia z prezydium sekretarza Kowalskiego i Krynickiego, by na ich miejsce wybrać nowych. O tym, że Plenum było zorganizowane i wrogo ustosunkowane do UTSK w Zielonej Górze mówi za siebie to, że przyjechał na niego sam główny lider sekretarz ZG UTSK z Warszawy, Bojarski z delegatem MSW. Zaproszono również miejscowe władze wojewódzkie i partii. Powodem zawieszenia członków

zielonogórskiego Towarzystwa Krynickiego i Kowalskiego było to, że na IV Plenum tego Towarzystwa mówiono o wielkich niedociągnięciach Zarządu Głównego w Warszawie w dziedzinie powrotu wszystkich na rodzinne ziemie. Na IV plenum stwierdzono, że w tym kierunku można było zrobić o wiele więcej, ale w Zarządzie Głównym UTSK w Warszawie nie tylko, że nic się nie robi, ale, jeszcze działa się przeciwko Łemkom jak również, że w Zarządzie Głównym siedzą nie nasi ludzie lecz nacjonałiści ukraińscy. Po tym IV Plenum Kowalski i Krynicki opracowali wnioski i rozesłali do wszystkich wojewódzkich i powiatowych Zarządów na terenie całej Polski bez powiadomienia o tym władz miejscowych i Zarządu Głównego. Te wnioski były podjęte na IV Plenum, poza tym ich celem było zorganizowanie Zjazdu delegatów wszystkich UTSK z całej Polski na dzień 6 października w Zielonej Górze. Planowano na tym Zjeździe postawić otwarcie zagadnienie powrotu Ukraińców i Łemków do województw lubelskiego, rzeszowskiego i krakowskiego. Powrót był pomyślany jak powrót zorganizowany i nie masowy jak to starał się przedstawić lider Bojarski, zorganizowany powiatami czy wsiami. W tych wnioskach podkreślano, że sprawa Łemków na tym Zjeździe ma być najważniejsza. Również podano parę przykładów jak stawia sprawę Łemków „Nasze Słowo”. Porównano go do gazet polskich „Trybuny Ludu” , „Po prostu” , „Poglądów” i dochodzi się do wniosku, że prasa polska prawdziwiej naświetla trudne położenie Łemków. Na Plenum 3.XI.1957 zabrał głos Bojarski. Jego wystąpienia wszyscy się spodziewali... Przed swoim wystąpieniem z nikim się nie przywitał, ani też do nikogo się nie odezwał – także do sekretarza Kowalskiego. Głównym uderzeniem w jego wystąpieniu było to, że nazwał zielonogórskie Towarzystwo „łemkowskim nacjonalizmem, który nie ma mieć tu miejsca”. Samego siebie i ZG w Warszawie starał się oczyścić od wszystkich błędów i nacjonalizmu. Sobie przypisywał tyle trudu na polu powrotu wszystkich ludzi na stare miejsca zamieszkania, że kto by nie znał i nie wiedział, to uwierzyłby temu, co mówił Bojarski. Po pierwsze sam lider się płątał,

gdyż mówił tak: „O powrocie, o który się tak bijecie i buntujecie całą Polskę, nie ma mowy, bo gdzie wy pojedziecie? Masowo nie dojedziecie nawet do Krakowa. Państwo polskie nie stać na przesiedlanie Łemków na Łemkowszczyznę”. Także przyniósł ze sobą gazetę „Nowy Szlach” z 4 października, która wychodzi w Kanadzie. Czytając w niej artykuł starał się między jej wnioskami znaleźć wśród nas nacjonalistów, a może i sam nie wiedział, co chce od nas? Starali się starsi i młodzi Łemkowie przedstawić Bojarskiemu swoje trudne położenie między Polakami. Jeden starszy Łemko wstał i ze złością powiedział: „Towarzyszu Bojarski, przestańcie wreszcie mydlić nam oczy, my nie chcemy z wami mieć nic wspólnego, przyszyliście nam ukraińską łatę, a my teraz przez 10 lat przez was cierpimy, czy można tak w tych warunkach żyć tu na zachodzie? A wy co w tej sprawie robicie? Nic! Na usunięcie z Towarzystwa i jego rowiązanie tu w Zielonej Górze my się wszyscy nie zgadzamy.” Krzywd Łemków doznawanych od Polaków nie sposób opisać, bo tego są setki przykładów. Na takich zebraniach jak ten Zjazd mówiono, ile to było napadów na łemkowskie domy z siekierami, łopatami. Byli też Łemkowie pobici przez pijanych milicjantów. Było też wielkie piekło, gdy Polacy nie chcieli dopuścić pochować zmarłego Łemka na cmentarzu, co jest bardzo podłym i hańbiącym czynem. Tu winowajcami byli księża nacjonałiści. Podpisał „Wanio Huńka”.

W rezultacie bezgranicznej wściekłości z powodu tego artykułu, Dymitr Perun przyszedł do biura Bojarskiego, zabrał to tłumaczenie z „Karpatskiej Rusi” oraz kilka innych ukraińsko-języcznych gazet i po uprzednim telefonicznym zgłoszeniu swojej wizyty, obydwoj z tym udali się do KC PZPR. Na ich żądanie natychmiast cofnięto debity na wszelkie ukraińsko i rusko-języczne zachodnie wydawnictwa dotąd legalnie nadsyłane do Polski włącznie z kalendarzami i innymi, a także w korespondencji prywatnej. Od tego czasu takie wydawnictwa mogło otrzymywać tylko kilku wysoko zaufanych wybrańców, w tym jeden „działacz” łemkowsko-języczny na Podkarpaciu. Licznych innych, za wycinkami z zachodnich gazet, czekały niespodziewane

rewizje dzienne i nocne, w tym również mnie.

Moje sprawozdanie do delegacji służbowej nr 47 z 1958 roku na wyjazd do powiatów: Gorlice, Jasło i Krosno.

Temat: Położenie ludności ukraińskiej (łemkowskiej), która powróciła z ziem zachodnich w przekroju ogólnym i charakterystycznych przykładach. Sprawozdanie ogólne. Dane zbliżone do stanu faktycznego w liczbach wskazują, że dotychczas osiedliła się niżej podana liczba rodzin, które powróciły z zachodu w powiatach:

Gorlice: 329 rodzin prawnie, 6 bez formalności prawnej, z których 5 załatwiono pozytywnie, a jedną wysiedlono. Jasło: 7 rodzin prawnie.

Krosno: 12 rodzin prawnie, 1 bez formalności prawnych, którą załatwiono pozytywnie. Do wiosek, które skupiają ponad 10 rodzin łemkowskich łącznie z ludnością nie wysiedloną, w poszczególnych powiatach należą następujące wioski: W powiecie Krosno: Polany, Tylawa, Wilchowiec i Zyndranowa. W powiecie Gorlice: Bartne, Bielanka, Kunkowa, Leszczyny, Klimkówka, Łosie, Gładyszów, Hańczowa, Wysowa i Żdynia.

Przytoczone tu liczby wskazują, że pod względem nacjonalnym ludność łemkowska zlewa się tu z liczebną przewagą otoczenia, stanowiącą polskie osadnictwo. Przejawów dyskryminacji na tych terenach w przeciwieństwie do ziem zachodnich, nie notuje się. Jednak różnica traktowania przez urzędy przy załatwianiu różnych spraw często jest wyraźnie odczuwalna. To jest przyczyną, że świadomość powracających, przynależności do narodu ukraińskiego słabnie i to nawet u byłych aktywistów UTSK, aby nie utrudnić tu sobie warunków codziennego życia. Starym zwyczajem zarówno powracający, jak też autochtoni nazywają siebie Rusinami lub Łemkami, bo to już od podstaw łągodzi stosunek urzędnika przy załatwianiu sprawy.

Współzycie: Wszystkich osadników mimo ich nastrojów, aby nie dopuszczać do powrotów tu wysiedlonych Ukraińców, cechuje duża

powściągliwość w odnoszeniu się do powracających. Przejawy ostrych sprzeciwów dają się zauważyć tylko tam, gdzie dotąd nie powróciła jeszcze żadna rodzina z wysiedlonych. Natomiast tam, gdzie już mieszkają rodziny, które powróciły z zachodu i osadnicy polscy przekonali się, że są to ludzie spokojni, a ich powrót w niczym nie narusza ich osadniczych praw, następuje dobre współzycie. Ci, którzy tu powrócili i mimo częstych niezadowoleń z przyczyn nie uregulowanych spraw zwrotów ziemi i lasów, do osadników odnoszą się bardzo dobrze. Źródłem propagandy, a w rezultacie kością niezgody, stają się tu siewcy nienawiści nacjonalnej z ambony, zwłaszcza w Pętnej i w Wysowej. Taki siew wrogości rzymokatolickiego księdza spowodował, że Łepak w Pętnej jako tu urodzony i tu obok cerkwi mieszkający, wychodząc z rzymokatolickiego nabożeństwa w tej odwiecznie swojej cerkwi był przez polskich osadników ciężko pobity za to, że jakoby on Ukrainiec, to nie ma prawa do niej wstępu. Akcją tego ciężkiego pobicia kierował sołtys tej wsi Partyka. We wsi Wysowa po wystaraniu się o otwarcie cerkwi prawosławnej, miejscowy rzymokatolicki ksiądz rozpętał ostrą propagandę przeciwko prawosławnej wierze głosząc publicznie i prywatnie, że ksiądz prawosławny równoznaczny jest diabłowi, prawosławni nie uznają Matki Bożej, podeptali krzyż święty i tym podobne. Tenże wysowski ksiądz Franciszek Ostrowski podobnie jak dawniej, obecnie znowu deklaruje swoje usługi nabywania u niego możliwości przepisywania się na rzymokatolika Polaka, bo jakoby tylko to może uchronić Łemków przed ponownym ich wysiedleniem, tym razem na Sybir. Dodaje także, że prawosławni są kanonicznie zakwalifikowani jako element podrzędny, oparty na bezwartościowych schizmatykach. Nie mniej wrogo do wszystkich Łemków i ich spraw ustosunkowany jest przewodniczący wysowskiej gminy, wójt Michał Krajcikiewicz.

Sprawy organizacyjne:

Od dwóch lat formalnie istniejący w Gorlicach Powiatowy Zarząd

UTSK, nie przejawia żadnej działalności. Dawni aktywiści po powrotach na te tereny nie przejawiają tu żadnej działalności w obawie, aby nie utrudnić sobie warunków bytu. Utrudnieniem tu jest także bardzo słaba komunikacja, i to wyłącznie autobusowa. Przewodniczący ZP UTSK Włodzimierz Tkacz mieszka w oddalonej około 15 km Ropicy Ruskiej i ma bardzo utrudnioną styczność z aktywem. Ponadto większość Łemków na tym terenie do UTSK odnosi się z rezerwą z powodu przeciwstawienia się tej organizacji powrotom wysiedlonych. Właśnie to głównie wpłynęło tu na twierdzenie: „Myśmy są Rusinami, a nie Ukraińcami”. Nie deklarowanie się za Ukraińców i nie wykazywanie aktywności społeczno-organizacyjnej stanowi życiowe samoasekurowanie się taktyczne, gdyż na przykład podczas wyborów sołtysa, potrafili zorganizować się tak, że sołtysem został Łemko. We wsi Bartne założono koło ZMW z 15 samych Łemków, którzy powrócili z zachodu. Jednak po kilku dniach sołtys tej wsi Mikołaj Horbal (nie był wysiedlony) to koło ZMW nazwał ukraińskim i zabronił wstępowania do niego. W oparciu o łemkowską sztukę teatralną napisaną przez Teodora Kuziaka, przystąpiono do jej prób na scenie. Podziały społeczne:

Pozorna tu jednolitość społeczna Łemków. W rzeczywistości znamiona podziałów takich jak: „myśmy nie Ukraińcy, myśmy nie prawosławni”. Szczególnie uwidacznia się to w Hańczowej i w Wysowej. Część ludności otwarcie potwierdza swoje przekonanie i uczucie narodowe, jako że są Ukraińcami, drudzy nazywają się Rusinami, a jeszcze inni tylko Łemkami. Daje się to stwierdzić dopiero w rozmowach szczerych, natomiast zewnętrznie to ujawnia się ogólna niechęcią organizacyjną i podziałem na grupy pogładowe i religijne.

Sprawy gospodarcze:

W sprawach gospodarczych istnieje bardzo ożywiony ruch. Większość dotychczas nie uregulowanych spraw osadniczych powoduje, że codziennie do Powiatowego Zarządu Rolnictwa w Gorlicach

przychodzą dziesiątki ludzi – Łemków w celu uregulowania swoich problemów gruntowych, najczęściej bezskutecznie. Kłopotliwą tą sytuację dodatkowo komplikuje nieprzeprowadzona lub nieukończona regulacja gruntów. To stanowi główną przyczynę, że wiele osób nie może otrzymać z banku kredytu, bo nie ma wydzielonego placu budowlanego i przygotowanego planu pod budowę. Placu wydzielonego nie ma, bo nie przeprowadzono regulacji ziemi. Często się zdarza, że ludzie z decyzją o nadaniu im gospodarstwa w kieszeni, pozostają bez kawałka ziemi, pozbawieni są możliwości gospodarowania i budowy, bądź zdani na łaskę innych albo przekupstwa, jakie w tych sprawach bardzo się tam rozwija. Takie przykłady stwierdziłem w Bartnym, Ropkach i Leszczynach. W Bartnym pozostaje do rozdysponowania z Państwowego Funduszu Ziemi 500 ha a Łemkowie tam nie mają gdzie orać i paść bydła, bo wszędzie im nie wolno, natomiast polskim osadnikom wolno. Winę za taki stan rzeczy ponosi wyłącznie miejscowy sołtys Mikołaj Horbal. Na tym terenie Łemkowie w nikim nie widzą obrońcy swoich podstawowych praw, także w UTSK. Sobin Aleksander z tej wsi z trudem wystarał się o możliwość kupna 2 metrów kubicznych drzewa na naprawę dziurawego dachu. Ponieważ jest Łemkiem, więc ta niby prosta jego sprawa, musiała być zatwierdzana przez wiejskie zebranie (polskich osadników), sołtysa Horbala, a następnie przez Urząd Gminy w Sękowej. Kiedy przebrnął przez te „zuchowskie” progi przeszkód, to pozostało tylko zapłacić w gorlickim Nadleśnictwie, ale z tą zapłatą okazało się najtrudniej. Autobus tu nie jeździł, a i z groszem tylko ze sprzedaży od 11 kur jajek, też nie było lekko. Do Gorlic 30 km w jedną stronę, ten starszy człowiek w różnych sprawach „dybał” pieszo. W sprawie zapłaty za to wystarane się drewno musiał tak chodzić aż 5 razy z powodu celowego utrudniania. Przyczyna ?

- 1) Kasjerowi zabrakło kwitariusza;
- 2) Kasjer w tym dniu był zajęty przygotowaniem listy płac;
- 3) Bo nie był to dzień dla załatwiania interesantów;
- 4) To znowu był to dzień wypłat, więc z tych prostych przyczyn Sobin

nie mógł dokonać wpłaty. Tymczasem przez dziurawy dach woda bez przeszkód lała się do podstawianych naczyń. Jeszcze raz odczuł biedak, że nie urodził się Polakiem. Chodzili Łemkowie szukać pomocy, ale nie było u kogo. W powiatowym Komitecie partii I-y sekretarz w takich sprawach nie przyjmował, więc kierowano do II-go, który nigdy nikomu niczego pozytywnie nie załatwił. Dobrze pamiętał przecież jak w Bieszczadach walczył z UPA, a teraz już jako sekretarz Sobczak upojony masmedialną antyukraińską propagandą był dostatecznie odporny na ich gospodarcze cierpienia. Tu na Podkarpaciu Łemkowie prowadzą burzliwe dyskusje i pytają dlaczego to Łemkom specjalnie nie pozwalano się wracać czy osiedlać, a UTSK nie interweniuje i nie udziela żadnej odpowiedzi, mimo wielu próśb składanych do ZG UTSK. Piszą, że jeżeli komuś nawet uda się powrócić, to otrzymuje on ziemię najgorszą i warunki trudne do pokonania, w przeciwieństwie do osadników Polaków.

Następnego dnia po powrocie z delegacji do Warszawy, prosiłem Bojarskiego o skuteczne interweniowanie, i to przez odpowiednie zwierzchnie władze w sprawach przeze mnie wskazanych z pobytu na Podkarpaciu. Bojarski odpowiedział, że teraz nie czas tym się zajmować, bo są sprawy pilniejsze z krecią robotą łemkowskich separatystów. Proszę odpocząć, a o tym będziemy rozmawiać innym razem. Dyrektywy z inicjatywy ZG UTSK, za aprobatą MSW i przy pomocy KC PZPR.

Pewnego razu po przyjeździe z delegacji do Warszawy, dowiedziałem się z pozostawionej dla mnie w recepcji Hotelu „Central” karteczki, że jestem oczekiwany przez 1, 2 lub 3 (Makucha, Hoszowskiego lub Zynycza). Zaraz też otrzymałem telefon, a po nim pilną wizytę z wysoko postawionym panem „X” z plikiem bardzo ważnych dokumentów. Ta noc była wtedy dla mnie szczególnie pracowita, bo dowiedziałem się, że Bojarski wobec swojej bezradności, zdecydował się zwołać naradę łemkowskiego aktywu partyjnego z całej Polski do KC PZPR, na której wygłosił napisany przez siebie, a zatwierdzony przez MSW i KC PZPR, referat o

konieczności przeciwstawienia się rozbijackiej robocie łemkowskich separatystów. Pewną treść tego referatu usiłowałem wręczyć komuś z przyjeżdżających delegatów. Do dworca kolejowego nie mogłem się zbliżyć, więc koło Pałacu Kultury spotkałem Jarosława Merenę z Zielonej Góry i jemu to wręczyłem ten materiał z prośbą o przygotowanie ludzi do odpowiedniej dyskusji, gdyż ja jako bezpartyjny, w tym Zjeździe udziału brać nie mogłem, chociaż dotąd moja bezpartyjność nie przeszkadzała nawet w naradach w KC. Wnet okazało się, że Jarosław Merena z materiałem tak ważnym dla doli Łemków nie zapoznał nikogo, sam w dyskusji nie wystąpił, a materiał ten oddał w takie ręce, że zaraz znalazł się w MSW na biurku Bojarskiego. Na dzień tego Zjazdu wręczono mi delegację pilnego wyjazdu do Gromadki i Złotoryi. W 6-tym dniu po tym Zjeździe łemkowskich partyjniaków w KC PZPR, Bojarski w swoim gabinecie uściskał mi dłoń ze słowami gratulacji i najwyższego podziwu i powiedział: „Panie Fudżak, daję wam moje słowo honoru i zapewniam, że nic wam za to nie będzie, ani też żadnych skutków, tylko proszę mi powiedzieć, jak ten mój referat potrafiliście zdobyć? Pisałem go sam osobiście i nikt do niego dostępu nie miał. Były tego trzy egzemplarze: jeden w MSW, drugi u Sława w KC i ten trzeci u mnie w pancерnej kasie. Klucz zawsze mam przy sobie. Jak wyście to potrafili zdobyć? Nalegał o to wielokrotnie. Odpowiedzi nie otrzymał. Stosunek Bojarskiego do mnie pozornie wydawał się nadal serdeczny, ale od tego czasu dostrzegałem towarzyszące mi „anielskie cienie” ale o tym w dalszym opisie.

TRZYKROTNE PRÓBY WOLNOŚCI DO SWOJEJ PRAOJCOWSKIEJ WŁASNOŚCI

Bestialskie ich niszczenia pod własnym językowym i nacjonalnym sztandarem UTSK, jako przedłużeniem nacjonalistyczno – komunistycznego i klerykalnego reżimu i zniewolenia XX-XXI wieku. Tymi próbami były:

I) Wyżej opisany jednolicie zorganizowany pod szyldem UTSK i masowy zryw zielonogórskich działaczy z żądaniem o zezwolenia na legalne powroty i naprawę krzywd.

II) Żądania ogólnopolskiego Zjazdu Weteranów Wojennych i Partyzanckich we Wrocławiu.

III) Deklaracja Tymczasowego Komitetu Społeczno-Oświatowego Rusinów - Łemków w Polsce.

Ponieważ dotychczasowe próby domagania się powrotów i naprawy krzywd spotkały się z ostrym przeciwstawieniem się i zwalczaniem, za pomysłem redaktora Hoszowskiego i Makucha w tych domaganiach się postanowiono uczynić taktyczny unik spod oskarżenia o nacjonalizm i UPA jako uzasadnienia wysiedleń i posłużyć się taktyczną kartą Deklaracji Karpackich Łemków – Rusinów. Oto jej pełna treść:

D E K L A R A C J A

Tymczasowego Komitetu Społeczno – Oświatowego Rusinów – Łemków w Polsce.

Występując w imieniu obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej narodowości rusko-łemkowskiej, zwracamy się do Centralnego Komitetu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o przywrócenie równych praw obywatelskich mniejszości narodowej Rusinów - Łemków w Polsce Ludowej.

I od czasów, kiedy kroniki historyczne zanotowały osady ludzkie

na obszarze Karpat, między rzeką Sanem a Popradem i Dunajcem, zamieszkiwała ten obszar ludność ruska, z końcem XIX, a zwłaszcza z początkiem XX wieku nazywana także Łemkami. Rusini – Łemkowie zawsze byli zaliczani przez naukowców historyków do plemienia wschodnio-słowiańskiego. W obecnej chwili stanowią oni jedno z pozostałych plemion Czerwonej Rusi. To, że Rusini – Łemkowie utrzymali się do obecnej chwili, zawdzięczają temu, że do 1946 roku zamieszkiwali zwartą grupą tereny niedostępne w górach Karpatach. Grupowe i zwarte zamieszkiwanie umożliwiło nam utrzymanie swojego odrębnego języka, kultury i obyczajów oraz religijnego wyznania. W ten zakątek kraju najpóźniej, i w bardzo małym stopniu, docierała do ludności nauka i oświata. Kaganiec oświaty pierwsi przenieśli do ludu ruskiego na Łemkowszczyznę społeczni działacze, rekrutujący się z ruskiej inteligencji, którzy później zapłacili za to swoim życiem. Łemkowszczyzna niemal przez cały czas swej historii wchodziła w skład państwa polskiego, a ludność łemkowska na przestrzeni wieków nieprzerwanie sąsiadowała z ludnością polską. Stosunki Rusinów – Łemków były zawsze nacechowane lojalnością do Narodu i Państwa Polskiego. Rusini – Łemkowie zawsze stali u boku narodu polskiego w jego walce o wolność i niepodległość, i dawali tego liczne dowody. Jeszcze w czasie powstania chłopów pod dowództwem Kostki Napierskiego na Podhalu, w szeregach powstańczych walczyli chłopcy ruscy z Łemkowszczyzny, za co kilkunastu zostało straconych wraz z Kostką Napierskim. Po upadku austro-węgierskiej monarchii, Rusini – Łemkowie włączają się w nurt walki rewolucyjnej. Idąc za przykładem robotników Górnego Śląska, powołali Gminne Rady Rewolucyjne w powiatach Gorlice, Nowy Sącz, Grybów oraz w innych powiatach Łemkowszczyzny. Rady te istniały aż do połowy lutego 1919 roku.

Rozwiązanie tych Rad nastąpiło pod presją ówczesnego Rządu obszarniczego – kapitalistycznego w Polsce. Lojalny stosunek do narodu polskiego Rusini – Łemkowie wykazali w czasie okupacji hitlerowskiej. Fakty dyskryminacji osób narodowości polskiej jakie miały miejsce

na Łemkowszczyźnie były stosowane w równej mierze do ludności ruskiej. Fakty te obciążają hitlerowców i uzbrojoną ukraińską policję – siczowików. W czasie okupacji działały Ukraińskie Dopomogowe Komitety, w skład których wchodziły jedynie elementy napływowe ze wschodu. Komitet ten zwłaszcza Centralny w Krakowie służył niemieckiemu faszystowskiemu i postępował podobnie jak jego poprzednicy w służbie dla cesarza Franciszka Józefa. W przeddzień napaści hitlerowców na ZSRR, wspomniane ukraińskie Komitety przedłożyły generalnemu gubernatorowi spis bardziej świadomych i aktywnych Łemków, oskarżając ich przed hitlerowską policją o sprzyjanie Związkowi Radzieckiemu. Wykazane w tym spisie osoby w dzień napaści na ZSRR, o godzinie 6-ej rano były aresztowane przez ukraińską policję i osadzone w więzieniach w Jaśle, Sanoku i Nowym Sączu. Dalszy los aresztowanych łemkowskich działaczy i inteligencji był taki sam, jak aresztowanych Polaków i Żydów. W okresie międzywojennym chłopcy ruscy i robotnicy na Łemkowszczyźnie w jednych szeregach z polskimi robotnikami i chłopami walczyli z Rządem burżuazyjno – sanacyjnym.

Dowodem tych wspólnych walk są powstania chłopów w powiecie leskim w 1932 roku oraz wspólne strajki chłopskie na terenach Małopolski, liczne strajki w fabrykach i przedsiębiorstwach na terenie powiatu Gorlice, Jasło, Krosno, Sanok. W Sanoku wspólne manifestacje chłopów i robotników polskich i ruskich oraz wspólnie przelana krew w walce przeciw wyzyskowi i niesprawiedliwości społecznej, zcementowała jedność i braterstwo pracującej ludności polskiej i ruskiej. Za działalność rewolucyjną wielu Łemków było sądzonych i więzionych w okresie międzywojennym w Polsce sanacyjnej. Podczas okupacji Łemkowie zorganizowali ruch oporu związany organizacyjnie i politycznie z Polską Partią Robotniczą. Zapelniały się szeregi oddziałów partyzanckich Gwardii Ludowej działających na terenie powiatów Krosno, Jasło i Gorlice ruskimi chłopami i robotnikami z Łemkowszczyzny. W powiecie Jasło, Krosno i Nowy Sącz grupy partyzantów Łemków – Rusinów były w

ściśłym kontakcie z partyzantami Armii Radzieckiej i z nimi współdziałali. Należy podkreślić, że cała ludność ruska na Łemkowszczyźnie była ustosunkowana przychylnie i pomagała jak mogła, zarówno partyzantce radzieckiej jak i polskiej. W wyniku walki z hitlerowskim okupantem, Rusini – Łemkowie ponieśli olbrzymie straty. Tysiące najbardziej ideowych synów ludu ruskiego Łemkowszczyzny wywiezionych zostało do koncentracyjnych obozów i na przymusowe roboty do Niemiec, z których wielu nigdy nie wróciło. Hitlerowski okupant był wrogiem jednakowym tak wobec narodu polskiego, jak i dla ludności ruskiej zamieszkującej teren Łemkowszczyzny. Hitlerowcy mieli w planie wysiedlić wszystkich Rusinów, a teren Łemkowszczyzny zasiedlić Niemcami ze Spisza. Niezdolnych do wydajnej pracy było w planie zlikwidować biologicznie, a zdolnych jako siłę roboczą wysłać do Niemiec. Od tego nieszczęścia uratowała nas, tak jak i naród polski Armia Radziecka, odnosząc zwycięstwo nad hitleryzmem. Wierzyliśmy, że zwycięstwo to zapewni nam wolność i spokojne życie, a zakusy okupacyjne raz na zawsze zostały pogrzebane. Po wyzwoleniu terenów Łemkowszczyzny, Łemkowie – Rusini masowo jako ochotnicy wstępowali do Armii Radzieckiej i brali czynny udział w walkach na froncie przeciw hitlerowcom o niepodległość Polski Ludowej. O udziale Rusinów – Łemków w walce przeciw hordom hitlerowskim świadczą tysiące grobów pozostawionych na polach bitew, Dukielskiej Przełęczy, na Morawskiej Ostrawie, pod Berlinem i Pragą. W tym samym czasie Rusini – Łemkowie wstępują też do Wojska Polskiego i wraz z Polakami wyzwalały polskie ziemie zachodnie. W walkach z okupantem jedni oddali swe życie i pozostały po nich wdowy i sieroty bez żadnej opieki i pomocy, a inni przelewając krew za Polskę Ludową powrócili do swoich rodzin inwalidami niezdolnymi do pracy, także bez żadnej pomocy. Tuż po wyzwoleniu powstał w Gorlicach Łemkowski Komitet Chłopsko – Robotniczy, który przystąpił do zorganizowania miejscowej Władzy Ludowej, a cała ludność ruska lojalnie i przychylnie ustosunkowała się do władzy

Polski Ludowej i przystąpiła do odbudowy zniszczeń dokonanych przez okupanta i działania wojenne.

**DELEGACI RUSINÓW-ŁEMKÓW NA ZJEŹDZIE W
WARSZAWIE
24. VI. 1945 r.**

1) Zadeklarowali swoją pomoc rządowi PRL w likwidacji band w Karpatach.

2) Za udział i poniesione ofiary w walce z okupantem hitlerowskim o wyzwolenie narodowe i Polski domagali się równych praw obywatelskich, uprawnień społeczno – kulturalnych i politycznych dla Rusinów – Łemków.

Stawianie tych elementarnych postulatów przez delegatów było szczere i jak najbardziej obywatelskie, jednak Rząd PRL do tego czasu nie dotrzymał danej wówczas obietnicy i zgody na realizację tych postulatów. W stosunku do Łemków – Rusinów nie zostały także zrealizowane hasła wolności i równości głoszone przez KPP a następnie przez PPR, hasła, z którymi szli do boju robotnicy i chłopi w ustroju kapitalistycznym i do walk wyzwolńczych przeciw hitlerowskiemu okupantowi. Dalsza obszerna część tej DEKLARACJI pozostaje w posiadaniu autora.

Deklaracja ta podpisana (w oryginale) przez przewodniczącego tego Komitetu Stefana Makucha i sekretarza Jana Fudżaka, a skierowana do najwyższych władz partyjnych i Rządu PRL za pośrednictwem Ambasady Związku Radzieckiego w Warszawie, była wręczona do rąk sekretarza tej Ambasady w sierpniu 1958 roku z prośbą o wsparcie i pomoc. Podpisani Makuch i Fudżak występowali osobiście i treść tej deklaracji nadto uzupełnili wieloma dalszymi faktami, a dotyczącymi między innymi karnymi skutkami za zwołanie we Wrocławiu Zjazdu Weteranów II-ej wojny światowej i antyhitlerowskiego ruchu partyzantów oraz dalszym pogłębianiem i utwierdzaniem krzywd poprzez pośpieszne wydanie Uchwały z dnia 13 marca 1958 roku

jako uzupełnienie Akcji „Wisła”, który do reszty pozbawia wszystkich Ukraińców - w tym także Łemków swoich praw według nacji, wiary i pochodzenia. Sekretarz Ambasady uważnie nas wysłuchał i przyobiecał swoją pomoc. Stefan Makuch już tam wyzbył się złudzeń gdyż skonstatował, że sekretarz ten w trakcie rozmowy z nami na chwilę wyszedł, a my byliśmy przyjmowani bez tradycyjnego poczęstunku czajem. Zaraz po opuszczeniu budynku Ambasady dostrzeżliśmy, że już jesteśmy śledzeni przez dwóch cywilnych „stupajków”. Obydwaj z Makuchem wszelkie kontakty pozaoficjalne zerwaliśmy, aby sobą nie naprowadzić z nas podejrzenia na innych. Czekaliśmy na odzew lub wezwanie na przesłuchanie, jednak nic takiego nigdy nie nastąpiło. Nawet Bojarski o tym nie wnet się dowiedział. Poza naszym ścisłym gronem o tej deklaracji nikogo nie zapoznano. Jednak już po 5-ciu dniach otrzymaliśmy wiadomość, że w Zielonej Górze podporucznik rezerwy służb specjalnych Paweł Stefanowski powołał jakiś łemkowski komitet i ogłosił tam własną deklarację. Redaktor Hoszowski namówił Bojarskiego, aby posłał mnie do Zielonej Góry sprawdzić zażalenia napisane do „Naszego Słowa”. Z relacją zapoznał mnie Jarosław Zwoliński. Powiedział, że „organizują” tu stworzoną przez Pawła Stefanowskiego i Jarosława Merenę, a podpisaną także przez Jarosława Zwolińskiego i Mikołaja Teliszczaka deklarację. Było to nic innego jak w 100 % pełna treść naszej warszawskiej Deklaracji pozostawionej jedynie w rękach sekretarza Radzieckiej Ambasady. Wnet Stefanowski, Merena i Zwoliński zwołali do Głogowa Zjazd Rusinów. Na przyjezdnych autobusami i pociągami czekała gęsta obstawa milicjantów i funkcjonariuszy UB po cywilnemu ubranych. Każdego spisywano.

Tak „wpadł” także redaktor naczelny „Russkoho Gołosa” z Łodzi, co w rezultacie skutkowało zakazem jej wydawania, po czym tenże redaktor Pantalejmon Juriew się ciężko rozchorował i wnet zmarł. Głównego pomysłodawcę tej Deklaracji redaktora Adriana Hoszowskiego, jak też małżeństwo Zynyczów i innych nigdy nie wykryto. Z ostrożności do osoby „skrzywdzonego” Stefanowskiego

jak też Jarosława Mereny, który Akcją „Wisła” był awansowany nie do obozu w Jaworznie, lecz na wysoki stołek partyjny w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Zielonej Górze. Powielana przez Stefanowskiego Deklaracja (plagiat) nie osiągnęła swojego prowokacyjnego celu. Po upływie kilkunastu lat, Stefanowski przy pomocy swojej córki z tą „swoją“ Deklaracją, jako własnością usiłował dotrzeć do uniwersyteckiej biblioteki w Harvardzie, a także wykorzystać ją dla podburzenia najbliższych swoich kolegów i przyjaciół na czele z Michałem Dońskim i Teodorem Goczem, celem zbierania podpisów pod petycją do I-go sekretarza w KC PZPR Edwarda Gierka, co miało za zadanie prowokacyjne - zniszczenie usiłującej coś nieco robić - Łemkowskiej Sekcji przy Zarządzie Głównym UTSK. Tą ostatnią prowokację można uznać za udaną, bo kary się posypały, a Łemkowska Sekcja przestała działać. Jednocześnie nastąpił nakazowy zanik kulturalnej działalności, głównie na Podkarpaciu. Przewodniczącemu Łemkowskiej Sekcji UTSK - byłemu oficerowi UB i agentowi NKWD Michałowi Dońskiemu utorowano drogę dla szybkiego opuszczenia Polski i wyjazdu do jego rodzzonego brata, jakoby zamordowanego w Polsce przez hitlerowców w 1943 roku. Do Polski powrócił dopiero po 10 latach (zamieszkał w Gorlicach), aby się zająć izolowaniem i segregowaniem Łemków od Ukraińców. Tutaj, dla byłych przyjaciół, stał się niewygodny, bo żądał od nich rozliczenia się z ponad 30 tysięcy dolarów, które on jako pomoc dla Łemków od Relief-Komitetu z USA pozostawił u nich na czasowe przechowanie. Ta przykrość zmusiła go do przeproszenia i przyjaźni z Janem Fudżakiem, którego w latach 60-ych przy pomocy partii i UB on tak zawzięcie usiłował zniszczyć jako ukraińskiego nacjonalistę i wroga socjalistycznego ustroju i partii. Przyjaźń czy jak kto woli „przyjaźń” Dońskiego z Fudżakiem i nie przyjęcie przez I-y Zjazd ostro dyktatorskich form uzurpujących sobie absolutne prawo rządzenia Zjednoczeniem Łemków, spowodowały lawinę oszczerstw i pomówień pod adresem tu wymienionych, nazywając ich puczowcami, agentami Kijowa, agentami polskiego

interesu i tym podobnie.

Blady strach paraliżował codzienne życie kilku byłych „działaczy” przed obawą, że Doński ujawni ich dotychczasowe nieuczynne działania w zakusach stosowanych w odniesieniu do kontaktów ze śląskimi Niemcami, podniecanie antyukraińskich działań w Stowarzyszeniu Łemków oraz wrogość do samej nazwy jak też ludności ukraińskiej w ogóle.

GWALCENIA POWYSIEDLEŃCZEJ WOLNOŚCI I OKIELZANIA PRAGNIEN NA POWROTY ZAAPROBATĄ PARTII I RZĄDU PRL, PODJĄŁ SIĘ Z UTSK BOJARSKI. WEDŁUG ZAŁOŻEŃ DLA ŁEMKOWSKIEGO AKTYWU PARTYJNEGO - ROK 1959

“ZAGADNIENIA ŁEMKÓW W CAŁOKSZTAŁCIE DZIAŁALNOŚCI UTSK W POLSCE”

(referat Bojarskiego odczytany w sali KC PZPR w Warszawie)

Od kilku lat Państwo nasze czyni wysiłki właściwego rozwiązania kwestii mniejszości narodowych w Polsce, zgodnie z zasadami marksizmu – leninizmu. W wyniku wzmożenia pracy na odcinku narodowościowym nastąpiło znaczne ożywienie aktywności poszczególnych mniejszości narodowych, a wśród nich i ukraińskiej mniejszości narodowej. Wyrazem tego jest Uchwała KC PZPR z kwietnia 1952, list Sekretariatu KC z czerwca 1955 roku, Uchwała Sekretariatu KC PZPR z kwietnia w sprawie ukraińskiej mniejszości narodowej. Uchwały te zalecały instancjom partyjnym wzmożenie pracy politycznej wśród ludności ukraińskiej oraz poprawę jej sytuacji materialnej. W 1956 roku na żądanie ludności ukraińskiej powołano do życia UTSK, które rozpoczęło swoją działalność w dość trudnych warunkach wynikających z rozproszenia ludności ukraińskiej i zaniedbań do tej ludności, głównie w dziedzinie życia ekonomicznego. O potrzebie zorganizowania przez ludność ukraińską UTSK świadczą

dotychczasowe wyniki jej dwuletniej działalności.

UTSK pomogło skuteczniej zwalczać przejawy dyskryminacji narodowościowej, przełamywać szkodliwe nastroje wśród ukraińców, podsysane często przez elementy wrogie i nacjonalistyczne, wreszcie wciągnięcie znacznej części ludności ukraińskiej do aktywnego społeczno – kulturalnego i ekonomicznego życia kraju. Znaczne postępy można odnotować i w zakresie rozwoju szkolnictwa, ruchu amatorskiego i artystycznego, wydawnictw i tym podobnych. Pomimo trwałych osiągnięć w pracy UTSK obserwujemy szereg negatywnych zjawisk, które utrudniają jego działalność i hamują rozwój pracy kulturalno-oświatowej w niektórych środowiskach ludności ukraińskiej. Poza trudnościami obiektywnymi w działalności Towarzystwa wynikającymi z niemożliwości załatwienia wielu pretensji natury ekonomicznej tej ludności, braku szerszego aktywu, występującego tu i ówdzie niewłaściwego stosunku do Ukraińców zacofanej części ludności polskiej i niektórych ogniw władzy ludowej, jesteśmy świadkami ożywiania w niektórych środowiskach starych reakcyjnych poglądów podsyszanych przez zagraniczne wrogie nam agentury. Szczególnie wśród części ludności łemkowskiej zamieszkałej na terenie województwa zielonogórskiego, wrocławskiego i rzeszowskiego występuje zjawisko swoistego separatyzmu, zmierzającego do oderwania Łemków od ludności ukraińskiej, a tym samym do zmniejszenia wpływu oddziaływania na tą ludność w UTSK. Wyraża się to w tym, że znikoma grupka inteligencji pochodzącej z Łemkowszczyzny, będąca pod wpływami „Łemko-Sojuzu” z USA oraz miejscowego greko-katolickiego kleru z dawnej „moskalofilskiej” generacji czyni wysiłki paraliżowania prac Towarzystwa na tym terenie. W tym celu szerzy propagandę, że UTSK hamuje powroty ludności łemkowskiej na swe dawne miejsca zamieszkania, twierdzi, że Łemkowie nie są Ukraińcami, że aktyw Towarzystwa to ukraińscy nacjonałiści oraz występuje do władz partyjnych i rządowych z petycjami, domagając się uznania Łemków jako odrębnej mniejszości narodowej w Polsce oraz powołania dla nich odrębnego od UTSK

Towarzystwa Społeczno Kulturalnego. Ostatnio do I-go Sekretarza KC PZPR zwrócili się jako przedstawiciele jakiegoś Tymczasowego Komitetu Społeczno Oświatowego Rusinów – Łemków z żądaniem uznania Rusinów – Łemków za mniejszość narodową, przedkładając przy tym piśmie deklarację tegoż nikomu nieznanego Tymczasowego Komitetu. Ze względu na to, że w tej deklaracji wysuwane są różnego rodzaju „teoryjki” zaczerpnięte z lamusa reakcyjnego w bardzo sprytny sposób skonstruowane, warto się nad nimi zastanowić szerzej, aby wnieść jasność dla mniej obeznanym z tym zagadnieniem.

W kilku ostatnich numerach „Karpatska Ruś” - organ Łemko-Sojuzu w Ameryce zamieszczono cykl artykułów pod ogólnym tytułem „Dlaczego Łemkowie nie uznają siebie Ukraińcami”. Autorzy tej deklaracji wiernie kopiują argumenty wysuwane przez „Karpatską Ruś”. Co oni twierdzą? Cytuję w przekładzie: „Ruś Galicka i Węgierska w tym Łemkowszczyzna należały dawno do wielkiej Rusi i jej wschodniej kultury i cywilizacji. Mimo tego, że Ruś Galicka graniczyła z Małą albo Kijowską Rusią, to jednak nigdy Ruś Karpacka nie należała do ziem Rusi Kijowskiej, obecnie Ukrainy. Kiedy Polacy nazwali Małą Ruś Ukrainą, to Ruś Karpacka była podległa Polsce i Węgrom, i dlatego nazwa Ukraina nie mogła odnosić się do Rusi Galickiej i Węgierskiej, lecz tylko do Małej Rusi, ale nie jako termin na oznaczenie narodowości - jak nauczyli Niemcy naszych galicyjskich Ukraińców”. Redaktorzy deklaracji skierowanej do KC naszej partii piszą:

„W obecnej chwili stanowią oni, to znaczy Łemkowie - jeden z pozostałych plemion Czerwonej Rusi”. W okresie Kijowskiej Rusi i w okresie feudalnego jej rozbicia mniej więcej do XIV – XV wieku w zasadzie jeszcze istniała jedna staroruska narodowość, od której brały swój początek trzy narodowości: rosyjska, ukraińska i białoruska. Ukraińska narodowość ukształtowała się na wspólnym terytorium południowo-wschodniej Rusi, a więc na Kijowszczyźnie, Perejasławszczyźnie, Czernihowszczyźnie, Wołyniu, Podolu, Ziemi Halickiej, Zakarpaciu i Bukowinie. Z nazwą Ukraina spotykamy się

już w 1187 roku w Kronice Kijowskiej. W 1189 ta sama Kronika oznacza „Ukrainą” Ziemię Halicką w dolnym biegu Dniestru. W XIII Halicko-Wołyńska Kronika nazywa tym mianem sąsiadujące z Polską terytorium Halicko-Wołyńskie Księstwo. Będąc ludową co do pochodzenia, nazwa Ukraina utrwaliła się w świadomości narodu w XVI i XVII wieku. W tym czasie nazwy tej zaczęto używać i w oficjalnych dokumentach. W dokumencie sejmu polskiego z 1580 roku w związku z antyfeudalnymi wystąpieniami na Ukrainie pisze się, że „te wystąpienia ogarnęły Ukrainę Ruską, Galicję, Kijowską, Wołyńską, Podolską i Braclawską”. Chociaż ostatecznie w XVI – XVII wiekach nazwa Ukraina stała się bardzo popularną w masach ludowych, co wyraża się w pieśniach z tego okresu, to i dawna nazwa ruski używana była dla określenia całego ukraińskiego narodu, jak i jego poszczególnych części. Nie bacząc na przeszło 600 lat niewoli i rozbitcia, naród ukraiński nie zatracił swej więzi narodowej, zachował i rozwijał swój język i kulturę narodową. Wszelkie teoryjki o pełnej odrębności narodowej poszczególnych plemion ukraińskich jak Karpatorusini, do których zaliczani są Łemkowie, nie zerwały więzi poczucia jedności pomiędzy wschodnią i zachodnią Ukrainą. W okresie XVIII i początkiem XIX wieku ostatecznie kształtuje się i utrwala ukraińska kultura narodowa a więc literatura, jednolity język literacki. Łemkowszczyzna, to jest południowa część powiatu: nowotarskiego, nowosądeckiego, gorlickiego, jasielskiego, krośnieńskiego, sanockiego, leskiego, przez długie wieki odizolowana była od wpływów ukraińskiej kultury. Jednak Łemkowie będąc pod wpływami języków: polskiego, węgierskiego i słowackiego potrafili zachować swój dialekt zaliczany przez naukowców do południowo-zachodnich dialektów języka ukraińskiego. Lwowskie „Słowo” - organ moskalofilów w 1861 roku pisało: „Żle zrobiliśmy, że w 1848 roku nazwaliśmy siebie Rusinami i zostaliśmy nimi nawet po proklamowaniu Konstytucji. W lwowskim sejmie była najlepsza okazja powiedzieć Polakom, Europie, że ich wysiłki stworzyć z nas odrębny naród Rusinów-Unitów na nic się nie zda, i że Ruś Halicka, Węgierska, Kijowska, Moskiewska ze względów etnograficznych, historycznych,

językowych i kulturalnych stanowią identyczność i pomimo tego, że w Galicji jest ona wiernie oddana swemu ukochanemu monarsze i swojej dynastii.

Nacjonalistycznie nastawiona burżuazyjna inteligencja grupowała się wokół narodów zależnych od Austrii. Ze względu na ówczesną słabość klasy robotniczej i jej ruchu, moskalofile i narodowcy, posiadały duży wpływ na masy chłopskie.

Na wsi pracę kulturalną prowadził kler. I chociaż w tym czasie na Ukrainie istniała wielka literatura reprezentowana takimi postaciami jak Kotlarewski, Hułak – Artymowski, Hrebinka a szczególnie Szewczenko, to jednak kler o nastrojach moskalofilijskich orientował się na reakcyjną kulturę rosyjską i odnosił się ze znie wagą do języka ukraińskiego jako języka czerni, sług, chłopów.

Idąc śladami reakcyjnych historyków rosyjskich, moskalofile nie uznawali odrębności narodu ukraińskiego i zaprzeczali jego istnieniu. Jeszcze w 1914 roku w gazecie „Łemko” - Wanio Hunianka pisał, że gdyby nie byli wymyślni Ukraińce, to nie byłoby się z czego pośmiać. O reakcyjności i stosunku do chłopstwa niech świadczy wypowiedź ojca duchownego moskalofilstwa Zubrzyckiego w liście do Pogodina - pisarza rosyjskiego: „chłop to stworzenie, które jest zobowiązane przez Boga do odrabiania pańszczyzny i tak jak nigdy mądry człowiek nie będzie uświadamiał swego inwentarza żywego, tak samo absurdem jest zabierać się do oświaty chłopów”. Wielki syn narodu ukraińskiego Iwan Franko bezwzględnie krytykował galicyjskie moskalofilstwo, które orientowało się na reakcyjną kulturę rosyjską i wrogo występowało przeciwko postępowej kulturze rosyjskiej. Według Franka: siali oni pogardę i niechęć do walki o interesy ludu pracującego. Pisał on: „nie wiercie młodzi rusofile swoim ojcom duchowym, że my galicyjscy Ukraińcy dyszymy nienawiścią do wszystkiego, co rosyjskie”. Ideolog galicyjskich rusofilów dr Wawryk był kapitanem w armii Kornułowa. Niedawno zmarły redaktor „Karpatskiej Rusi” w Ameryce dr Seman Pyż w artykule tej gazety „Gorlicki bursak” wspomina jak to on mobilizował Łemków we Włoszech do rosyjskiej

armii. Akcje czynników rządowych - odgradzania Łemkowszczyzny od wpływów ukraińskich skrzętnie wykorzystywali Starorusini, a przeważnie zorganizowani w „Ruskiej Selańskiej Organizacji” i „Ruskiej Agrarnej Organizacji”. Na Zjeździe działaczy łemkowskich 15. X. 1932 w Gorlicach mówiono o konieczności interwencji u odpowiednich czynników celem dostosowania szkolnictwa, jak i podręczników do etnicznych i językowych właściwości z wykluczeniem jakichkolwiek

naleciałości ukraińskich oraz wzmocnienie wśród nauczycielstwa elementu ruskiego, gdyż nauczyciele narodowości ukraińskiej propagują w szkołach i poza szkołą separatyzm ukraiński. Wydane przez ministra Spraw Wewnętrznych Zarządzenie, w którym zaleca się używanie z terminem „ruski” na równi „ukraiński”, napotyka na kontratak Starorusinów. W rezultacie podjętej na powiatowej Konferencji RSO w Przemyślu w 1936 roku czytamy: „Wzywamy wszystkie uczciwie myślące miarodajne sfery w państwie, aby nie dopuszczały do urzeczywistnienia takiego qriozum, jak ciążenie prowodyrów ukraińskich, by nazwę historyczną narodu ruskiego dla bardzo problematycznej wartości celów politycznych zmieniać na nazwę ukraiński i wystawiać w ten sposób nie mający z tym nic wspólnego wielki naród ruski na pośmiewisko przed całym światem, a państwo na kompromitację”. Faktem potwierdzającym kryzys ideologiczny Starorusinów i dążenie do utrzymania wpływu w masach chłopskich, jest ich dążenie do stworzenia odrębnej Apostolskiej Administracji Łemkowszczyzny dla ratowania religii katolickiej, jak to obecnie twierdzi były kanclerz tej Administracji ksiądz Jan Polański. Wydzielenie Łemkowszczyzny w oddzielną Administrację Apostolską oraz wprowadzenie do szkół na tym terenie podręczników w narzeczu łemkowskim, usiłują wykorzystać Starorusinów w kierunku wzmocnienia swoich wpływów wśród ludności łemkowskiej i stworzenia z Łemkowszczyzny rezerwatu rodu staroruskiego, skąd miałby on promieniować na inne części Galicji. Akcji Starorusinów pomaga w dużej mierze koncepcja Rządu zmierzająca do nieuznawania

Ukraińców za jednolity organizm narodowy. Administracja Apostolska księdza Maściucha wydała zakaz ozdabiania zwyczajem ukraińskim obrazów świętych w cerkwiach haftowanymi ręcznikami. W dniu 8 grudnia 1933 roku na Zjeździe w Sanoku powstaje „Łemkowski Sojuz”, który w swojej rezolucji wyraża uczucie lojalności i hołdu dla pana Prezydenta i pana Marszałka Piłsudskiego. Interesujący jest skład osobowy nowowybranego Zarządu „Łemko Sojuzu”, gdyż część tych ludzi żyje i nadal stara się odgrzewać i szerzyć reakcyjno-klerykalne tendencje. Do Zarządu weszli: Hnatyszak, Trochanowski, Siokało, Jaworski, Mokrzycki, Perełom, Muzyczka, Stefaniszyn, Fedak i Iwanisik. „Łemko-Sojuz” przystąpił do wydawania czasopisma „Łemko”, które miało na celu zwalczanie wpływów ukraińskich oraz kontrakcję w stosunku do wydawnictwa „Nasz Łemko”. Klótnia o nazwę czy Łemko jest ruski czy ukraiński stały się zmorą. I może dziś nie zastanawialibyśmy się nad tym, gdyby problem łemkowski ograniczał się tylko do tego. Ale grupa łemkowskich separatystów najwyraźniej pod wpływami reakcyjnych ośrodków zagranicznych wykorzystuje część Łemków, którzy z tych, czy innych względów nie chcą nazywać się Ukraińcami i podejmuje próby rozbicia ukraińskiej mniejszości. Część z nich weszła do UTSK i swoją robotą stara się skompromitować Towarzystwo w oczach władz. W tym celu w imieniu oddziałów Towarzystwa w Zielonej Górze i we Wrocławiu fabrykuje szereg rezolucji, szkaluje Ukraińców jako bandytów z UPA i UTSK jako organizację nacjonalistyczną. Wmawia się nieświadomym Łemkom, że gdy zadeklarują swoją przynależność do narodu łemkowskiego, to wrogi stosunek nacjonalistów polskich zmieni się w życzliwy, zmieni się także stosunek Rządu Ludowego i władz terenowych do zagadnienia powrotów na stare miejsca z 1947 roku. Nie możemy zezwolić aby nas aktywistów szkalowano tylko za to, że jesteśmy Ukraińcami, podrywano nam autorytet, robiąc z nas sprzedawczyków i nacjonalistów. Ta separatystyczna działalność grupy łemkowskiej inteligencji jest szczególnie szkodliwa, gdyż podtrzymuje tymczasowość oraz przeszkadza w stabilizacji ludności ukraińskiej

na ziemiach zachodnich, co rzecz jasna, nie leży w interesie państwa i szerokich masach chłopów ukraińskich. Poparcie w masach grupa ta znajduje jedynie dzięki wysuwaniu nie dających się zrealizować demagogicznych haseł i dzięki nie zgadzaniu się ze stanowiskiem w tej sprawie Zarządu Głównego, które jest zgodne z wytycznymi Partii i Rządu. Przez to grupa ta schodzi na pozycje wrogie odnośnie Partii i Rządu, rozbija jedność narodową ukraińskiej mniejszości oraz podważa autorytet UTSK w masach przez szkalowanie członków partii pracujących w Towarzystwie, nazywając ich ukraińskimi nacjonalistami i wrogami ludności łemkowskiej. Wiąże się z wrogimi nam ośrodkami zagranicznymi a szczególnie z „Łemko-Sojuzem” w Ameryce. Ich informacje z Polski są celowo umieszczane na łamach „Karpatskiej Rusi”, by przedstawić w nieprawdziwym świetle naszą rzeczywistość. W związku z tym nasuwają się wnioski do dalszej pracy:

- 1) Ciężar walki z tą separatystyczną grupą należy skierować na stabilizację i pomoc w jej zagospodarowaniu się.
- 2) Przygotować cykl odczytów i publikacji w „Naszym Słowie”, które naświetlałyby walkę ludności łemkowskiej o swą łączność z narodem ukraińskim, walki Łemków na przestrzeni historii o swe narodowe i społeczne wyzwolenie. Aktyw Towarzystwa winien się liczyć i uwzględniać w swej pracy odrębność regionalną Łemków i mieć wyraźne stanowisko w tej sprawie. Pochopność i lekceważenie właściwości regionalnej tej ludności pcha ją do obozu separatystów. Musimy zabezpieczyć zespoły artystyczne w repertuar uwzględniający łemkowskie pieśni, tańce, wiersze, baśnie i humor w ich dialekcie. Redakcja „Nasze Słowo” zwróci uwagę na pozyskanie korespondentów do „Łemkowskiego Słowa” i zadba o polepszenie szaty graficznej oraz o umieszczanie na jego szpaltach materiału ciekawego, który by zainteresował łemkowskich czytelników”.

W N I O S K I

Komisji KC PZPR do spraw Narodowościowych w sprawie pracy społeczno - kulturalnej wśród ludności łemkowskiej.

Sytuacja wśród ludności łemkowskiej wymaga od czołowego aktywu Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno – Kulturalnego specjalnego zainteresowania się i troskliwego podejścia. Dlatego Komisja KC do spraw narodowościowych proponuje Zarządowi Głównemu UTSK: Zabezpieczyć na Zjeździe wejście w skład Zarządu Głównego i Prezydium odpowiedniej ilości członków spośród aktywu łemkowskiego. Powołać przy Zarządzie Głównym UTSK „Zarząd Sekcji do spraw rozwoju Regionalnej Kultury Łemkowskiej”. Zarząd Sekcji będzie składową częścią ZG UTSK. W każdym posiedzeniu Zarządu, zebraniu Sekcji, bierze udział członek Prezydium ZG UTSK. Zarząd Sekcji może powołać również „Łemkowskie Kolegium Redakcyjne”, które współpracować będzie z Kolegium „Naszego Słowa”, zapewni materiały do „Łemkowskiego Słowa” oraz dla prasy polskiej.

Do kompetencji „Sekcji do spraw Rozwoju Regionalnej Kultury Łemkowskiej” należy:

- a) Kulturowanie regionalnych wartości kulturalnych Łemków przez organizowanie zespołów teatralnych, chóralnych, tanecznych, których repertuar będzie oparty o folklor łemkowski oraz rozwijanie rękodzieła artystycznego jak hafty, wyroby drzewne.
- b) Zbieranie folkloru i współdziałanie z odpowiednimi placówkami państwowymi w celu opieki nad zabytkami kultury ukraińskiej. Koniecznym jest nawiązanie współpracy z Muzeum w Sanoku, gdzie jest wiele eksponatów związanych z kulturą łemkowską.
- c) Organizowanie wyjazdów zespołów artystycznych do środowisk ludności łemkowskiej, organizowanie odczytów na tematy aktualne oraz oświetlające tradycje Łemków.
- d) Wydobywanie tradycji walk współczesnych z narodem polskim przeciw faszyzmowi i hitleryzmowi oraz rozwijanie pracy nad uczczeniem pamięci osób i miejsc związanych z tymi walkami. Ścisłe współdziałanie z Wydziałami Kultury Rad Narodowych dla zabezpieczenia rozwoju wszelkich form działalności oświatowo –

kulturalnych w środowiskach lemkowych. Zarząd Sekcji oprze się w swej pracy o doświadczony i oddany aktyw cieszący się autorytetem, realnie oceniający sytuację i rzeczywiste potrzeby oraz możliwości ich zaspokojenia. Zarząd Sekcji winien stać na gruncie Uchwały Sekretariatu KC PZPR z 1957 roku w sprawie ukraińskiej mniejszości narodowej oraz Uchwały Sejmu z 12 marca 1958 roku. Zarząd Sekcji rozwija działalność w kierunku stabilizacji ludności lemkowej w dotychczasowym miejscu jej zamieszkania na Ziemiach Północnych i Zachodnich” - Warszawa listopad 1959 roku

**ZA PRZYCZYNĄ
POWSTANIA UTSK
RUNAŁ MIT POLSKI JEDNOLITEJ NARODOWO**

Ostra krytyka delegatów I-go Zjazdu UTSK w 1956 roku przyczyniła się i spowodowała powstawanie innych organizacyjnych związków mniejszości narodowych w Polsce, a dotąd ukrywanych. Wtedy powstały Towarzystwa Kulturalno - Oświatowe: Białoruskie z jej organem prasowym „Niwa”, Rosyjskie z organem prasowym „Russkij Hołos” oraz Słowackie, które stopniowo ulegało osłabieniu w działaniu, gdy posłano tam polskich księży. Natępnie swoją organizację utworzyła mniejszość litewska oraz niemiecka. Mniejszość białoruska przez dwie kadencje miała w Sejmie RP swojego posła a Niemcy mieli i mają nadal czterech posłów. Ukraińcom, w tym także Łemkom rozsiąnym przesiedleniem po kilka rodzin po całej Polsce, nie umożliwiono posiadania swojej nacjonalnej reprezentacji ani w Sejmie ani też w Senacie RP mimo, że faktyczna liczba tej mniejszości w Polsce, usilnie polonizowana, jest bliska jednego miliona ludzi. W odniesieniu do ukraińskiej mniejszości narodowej, mistyfikacja dobroci i sprawiedliwości społecznej nie wytrzymała krytyki i I-y Zjazd UTSK lawiną faktów, nadal stosowanych krzywd wykazało pełne oblicze dyskryminacji we wszystkich dziedzinach, oraz zupełnego nie brania pod uwagę i stosowania się do zapisów obowiązującej Konstytucji

zarówno PRL jak też RP a odnoszących się do gwarancji równouprawnienia we wszystkich dziedzinach życia i sprawiedliwości. Ponieważ krzyk delegatów Zjazdu UTSK, a mocno wspieranych żądaniami z terenu poszczególnych województw nie był możliwy do opanowania przez kierownictwo ZG UTSK, to władze centralne KC PZPR wyraziły zgodę, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Departament Społeczno Administracyjny dnia 23 sierpnia 1956 roku za L.dz. D II-2-106-56 wystosował pismo do Wojewódzkich i Powiatowych Rad Narodowych o usunięcie niedopatrzeń i krzywd oraz przejawów dyskryminacji w odniesieniu do ukraińskiej mniejszości narodowej. Zalecenia te zupełnie pokrywały się w treści słów głoszonych przez przewodniczącego ZG UTSK Grzegorza Bojarskiego. Ich wyglądzona treść nie pozostawiała żadnych złudzeń co do osoby autorstwa mimo, że tym razem występującego pod oficjalnym szyldem MSW. Dowodzą tego zalecenia zawarte w punkcie 7 litera a, b i c, odmawiające stosowania możliwości powrotów na rodzinne ziemie.

Podpisali: M. Broniatowski - Wiceminister, Z. Snek - Dyrektor Departamentu Podsekretarz Stanu.

Za treścią powyższych zaleceń w odniesieniu do skrzywdzonych nic się nie zmieniło i zmienić się nie mogło, gdyż nie wydano stosownych rozporządzeń ich wykonywania, a więc pozostały one jedynie mistyfikacją wszechwładztwa niemożności z braku rozporządzeń wykonawczych. Dla przykładu dziwactwem władzy można by nazwać sytuację, że - jak w moim wypadku - Najwyższy Sąd Administracyjny orzeka zwrot odebranego gospodarstwa rolnego ale do zwrotu nie dochodzi i dojść nie może, z braku rozporządzeń wykonawczych i orzeczenie (Najwyższego Sądu) pozostaje bezprzedmiotowe i to bezterminowo. Ponadto w sprawach przejęcia i gospodarowania majątkiem przesiedlonych wydano wiele szczegółowych uchwał i rozporządzeń, ale zainteresowani nie mieli możliwości z nich korzystać a nawet wiedzieć z tych prostych powodów, że administracja terenowa nie dopuszczała takiej wiedzy

do zainteresowanych, a Zarząd Główny UTSK i jego organ prasowy „Nasze Słowo” w takich sprawach niczym betonowy mur stosował samoistną zasadę nie informowania swoich członków i czytelników o ukazaniu się korzystnych dla nich różnych uchwał i rozporządzeń. Wszystkie takie akty prawne kończyły swoją egzystencję w kasach pancernych przewodniczącego ZG UTSK i redaktora naczelnego „Naszego Słowa” i nikomu ich nie udostępniano. Dotyczyło to między innymi Uchwały Rady Ministrów nr 52 z 6 marca 1958 roku, Zarządzenia Prezesa Rady Ministrów nr 193 z dnia 25 września 1958 roku, pełnej treści Ustawy z dnia 12 marca 1958 roku, Rozporządzenia Rady Ministrów nr 198 z dnia 5.VIII.1961 roku o zmianie dekretu z 18 kwietnia 1955 o uwłaszczeniach i innych. W wyniku tych rozporządzeń mogli skorzystać wiele między innymi wszyscy ci, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do walki z hitlerowskim okupantem, brali udział w wojsku i tak dalej, ale nie skorzystali, bo nie wiedzieli. Reasumując powyższe, udało się utrzymać i rozwinąć jedynie ukraińskojęzyczne szkolnictwo i to w znacznej ilości: podstawowe, średnie a nawet wyższe w tym pedagogiczne.

Jak widzimy na podstawie tu przytoczonych dokumentów, zarządzeń i zaleceń, to były one tylko bardzo ograniczoną mistyfikacją i pozorami, gdyż dla ich rerealizacji nie wydano żadnych stosownych do ich treści rozporządzeń wykonawczych a nawet wręcz przeciwnie, bo w końcowej ich treści nie zapomniano pouczyć czym i na jakiej podstawie uzasadniać wysiedlenie. Powracającego z wysiedlenia na przykład powołania się na Rozporządzenie Prezydenta Rz.P. z 1928 roku o osadnictwie w pasie przygranicznym i inne. W wyniku Ustawy z 12 marca 1958 roku i rozpetanej ostrej nagonki na „łemkowskich separatystów”, wzmożono zacieranie śladów naszego istnienia w Karpatach w rodzaju stepowienia terenów, niszczenia pozostałych zabudowań, cerkwi, cmentarzy, kapliczek, tworzenia zalewów wodnych, rozbijania krzyży i nagrobków. Wzmożono także masową wycinkę drzewa własności wysiedlonych, drzew owocowych w sadach, drzew zabytkowych oraz dzwonnów i rujnowanie obiektów

sakralnych. Czyniono to z widocznym pośpiechem, najwyższą bezwzględnością i dwutorowo: z inicjatywy wojewódzkich władz administracyjnych w Rzeszowie, Przemyślu, Krakowie i Lublinie oraz z inicjatywy i wsparcia rzymokatolickiego biskupa w Przemyślu Ignacego Tokarczuka. Tak więc niezależnie od zbrodni dokonanej Akcją „Wisła”, ostateczne nasze wyniszczenie poprzez pozbawienie nas prawa do praojcowskiej ziemi, lasów i wszelkich innych dóbr materialnych oraz obiektów sakralnych, wykonane zostało z inicjatywy i realizowane głównie przez rodowitych Ukraińców - Bojarskiego i Tokarczuka. Z inicjatywy urzędników Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie pozmieniano także dotychczasowe nazwy poszczególnych wsi jako rzecz w historii narodów niedopuszczalną, ale tu zrobiono to z uzurpowanym sobie nacjonalistycznym polskim „prawem”.

MONITOR POLSKI

Dziennik Urzędowy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Nr 21
Warszawa 22 sierpnia 1977 roku.

Z a r z ą d z e n i e Nr 49 Prezesa Rady Ministrów z dnia 16. VIII. 1977 w sprawie usprawnienia organizacji pracy kierowników naczelných, centralnych i terenowych organów administracji oraz kierowników jednostek gospodarczych i instytucji. Ministra Administracji Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska z dnia 9.VIII. 1977 w sprawie zmiany nazw niektórych miejscowości w województwach: krośnieńskim, nowosądeckim, przemyskim, rzeszowskim i tarnobrzeskim.

1) województwo k r o ś n i e ń s k i e

Nowa nazwa obowiązująca Nazwa dotychczasowa

Brzeźnica Wieś - Bereznica Wyżna

Brzeźniczka Wieś - Bereznica Niżnia

Brzezki Wieś - Bereżki

Brzózka Wieś - Berezka

Chłodnik Wieś - Hłudno

Czechów Wieś - Wołodz

Dąbrówka część miasta - Dubrywka Ruska
Długopole Wieś - Dołżycia
Górna Wieś - Czystohorb
Gródek Wieś - Horodok
Groszówka Leśniczówka - Horosziwka
Jankowa Wieś - Wańkowa
Jabłonica Wieś - Jabłonycia Ruska
Jasień przysiółek - Jahońka
Jodłówka część wsi - Dwerniczok
Lisówek Wieś - Liskowate
Kazimierzowo część wsi - Muczne
Łęgi wieś - Łodynia
Łąka Wieś - Ulucz
Łukasiewiczze Wieś - Stuposiny
Międzygórze Wieś - Kulaszne
Międzylesie Wieś - Werchlis
Miodowe Wieś - Lachawa
Mroczków Wieś - Morochiw
Nowa Wieś - Uherce Mineralne
Okrężna Wieś - Holuczkiw
Olszanka Wieś - Wilsznia
Olszyna Wieś - Rosochate
Orle Wieś - Orelec
Ostra Wieś - Skorodne
Owczary Wieś - Łopianka
Podgórze Wieś - Rabe
Podegrodzie Wieś - Weremiń
Podrzecze Wieś - Newistka
Podzamcze Wieś - Huzela
Przedmieście Wieś - Czerteż
Przełęcz osada leśna - Pereluky
Przełom Wieś - Dwernyk
Przesmyk Wieś - Protysne

Przystań Wieś - Chrewet
Roztoka Wieś - Wołosate
Rzeczki Wieś - Stańkowa
Sady Wieś - Kresyw
Sanniki Wieś - Sianky
Sękówka Wieś - Sukowate
Słoneczna Wieś - Trywilne
Stanisławów Wieś - Hulskie
Skoczek Wieś - Hoszowczyk
Stuzienna Wieś - Studenne
Szybistów Wieś - Dudyńci
Średnia Wieś - Serednycia
Świerkowa Wieś - Smereczne
Świerków Wieś - Smerek
Świerzowa Wieś - Świrzowa Ruska
Tkaczowa Wieś - Rozputia
Ustroń wieś - Paniszczyw
Wietrzna Wieś - Witryliw
Wola Wieś - Wola Matiaszowa
Wola Sadowska Wieś - Wola Kresowa
Zacisze część wsi - Dydiowa
Zakole Wieś - Dołżycia
Zalesie Wieś - Liskowate
Zawadka Wieś - Zawadka Morochiwska
Zawadówka Wieś - Żerdeńka
Ząbieńsko Wieś - Zubenko

2) województwo N o w o s ą d e c k i e
Skwierzyn Wieś - Skwirtne

3) województwo P r z e m y s k i e

Boguszów Wieś - Werchrata

Chmielowice Wieś - Nimstyw
Dąbrowa Wieś - Horajec
Graniczne Wieś - Hurko
Gruszowice Wieś - Hruszowyci
Ignaców Wieś - Hnatkowyci
 Jaworowice Wieś - Jawirnyk Rusky
Jaworzyna Wieś - Dochniw
Jodłowa Wieś - Hruszowo
Kalinowice Wieś - Sirakosty
Kopystno Wieś - Kopysno
Kopytów Dolny Wieś - Kobylnycia Ruska
Kopytów Górny Wieś - Kobylnycia Wołoska
Krowice Lubaczowskie - Kroweć Hołodowski
Lesno Wieś - Pozdiacz
Lipówka Wieś - Bałaji
Lubice Wieś - Chotyłub
Łominy Wieś - Ułazyw
Międzygórze Wieś - Drohobyczka
Międzylesie Wieś - Zahutyń
Młodzice Wieś - Molodycz
Nadbrzeźna Wieś - Chołowyci
Nadsanie Wieś - Pralkowyci
Niwiska Wieś - Huczne
Niziny Wieś - Dusiwci
Nowiny Wieś - Nowyny Horyneckie
Olszynka Wieś - Dmytrowyci
Osetkowo Wieś - Monastyr
Podgórze Wieś - Rozubowyci
Podgorzyska Wieś - Witosynci
Podrodzie Wieś - Nehrybka
Podlasek Przysiółek - Hołubia
Podlesie Wieś - Kniażyci
Pogoń Wieś - Iskań

Pograniczne Wieś - Hureczko
Polanka Wieś - Polanka Horynecka
Rozdraże Wieś - Rozdroż
Smolinka Dolna Wieś - Basznychia Dolysznia
Smolinka Górna Wieś - Basznychia Horysznia
Sośnica Wieś - Chutory
Woltarów Wieś - Mołodowyci
Wiorska Wieś - Huwnyky
Witoldów Wieś - Aksmanyci
Witoldów Wieś - Jaksmanyci
Zagórze Wieś - Koniusze
Zalęże Wieś - Załuże
Zawada Wieś - Budomir
Zawodzie Wieś - Bihola

4) województwo R z e s z o w s k i e

Dębiaki Wieś - Chyky - Dubiaky
Jodłówka Wieś - Prychojec

5) województwo T a r n o b r z e s k i e

Cisów Wieś - Tysyw Lis
Spokojna przysiółek - Mordownia.

Powyższe zmiany wywołały publiczną krytykę i ostrą reakcję sprzeciwu zwłaszcza u historyków i naukowców, jako że są one bezprawne oraz szkodliwe historycznie i strategicznie, a także wprowadzają ogromny i niczym nie uzasadniony bałagan topograficzno - geodezyjny. Na rzecz przywrócenia starych nazw szczególnie ostro wystąpił polski pisarz i poeta Jarosław Iwaszkiewicz. W wyniku tej ostrej reakcji licznego grona naukowców, po dwudziestu latach poprzednie nazwy w zasadzie przywrócono ale nie do reszty, o czym i nadal w trudnej bezradności przekonują się miernicy i geodeci. Władczą sowietyzację wolną od humanizmu i wspartą o rabunkowy

pęd do polonizacji duchowej i materialnej z pominięciem prawa i moralnych zasad, nadal najbardziej odczuwają skrzywdzeni, ich rodziny i otoczenie zwłaszcza, gdy usłyszą Rotę w słowach „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród... tak nam dopomóż Bóg”. I dusi me serce żal, gdy moje dzieci mnie pytają: „Tato, a czy myśmy nie mieli żadnego Boga, że od dawnych pokoleń naszą własną ziemię, dom i cały rodzinny dobytek nam zabrano i mimo, że stoi wolne, nadal odmawia się nam oddania i przywrócenia RODZINNEJ własności. Głoszone w Polsce „wartości chrześcijańskie“ niczym nie różnią się od utwierdzenia zaborczej podłości, opartej na ludzkiej krzywdzie bliźnich i gwałceniu przykazań Bożych. Nie do pozazdroszczenia w Polsce żyć bez czystej krwi - polskiego rodowodu oraz metrykalnie i pokoleniowo udokumentowanego rzymokatolickiego wyznania wiary.

Osobiście byłem prześladowany i brutalnie dyskryminowany. Pracę mogłem dostać tylko na warunkach, jeżeli się uprzednio ożenię z Polką. Rodzice moi zginęli w walce z hitlerowskim okupantem. Mnie udało się okupację hitlerowską przeżyć z dorobkiem 14 medali. A mimo tych zasług i faktu, że moje dzieci miały matkę Polkę, to także nie mają prawa do mojej – do naszej ziemi ani też do jej dziedziczenia, bo „bezprawne prawo” w Polsce nie wybacza mnie jak też moim dzieciom, że ich tato w mojej osobie nie urodził się rdzennym Polakiem jak też to, że był ochrzczony w grekokatolickiej cerkwi, a nie w kościele.

Z tego powodu i tylko za tą przyczyną o gospodarstwie po moich rodzicach czy jakichkolwiek odszkodowaniach i rekompensatach możemy sobie jedynie pomarzyć i z największym żalem pozostawać w poczuciu przekonania, że żyję w niewoli, bo Konstytucja Rzeczypospolitej mnie i moje dzieci nie chroni i to bez orzekania o jakiegokolwiek winie.

Tymczasem w Warszawie mieliśmy nadzieję, że dławienie pragnień na powroty będziemy mogli wymusić poza strukturą UTSK w wyniku Deklaracji skierowanej do najwyższych władz PRL i KC PZPR, złożonej w Ambasadzie ZSRR. Przystąpiliśmy do ustalania

składu delegacji w tej sprawie. Jednocześnie stwierdzono, że władze centralne nie ustąpią i planują aresztowania „elementów warcholsko - separatystycznych, które swoją antypartyjną i antypaństwową działalnością zagrażają osiedleńczej stabilizacji na Ziemiach Odzyskanych”. W wyniku tego odstąpiono od wysłania delegacji pod szyldem złożonej Deklaracji na rozmowy w sprawach naprawy zapodrzianych wysiedlenia krzywd. Wobec takiego ryzyka zagrożonego aresztowaniem wysłanej delegacji, nie rezygnowali tylko Stefan Makuch i Jan Fudżak, którzy złożoną Deklarację podpisali, oraz ksiądz Jan Polański i mgr Piotr Fecica. Pewnego razu na posiedzeniu Prezydium ZG UTSK podczas omawiania spraw „łemkowskiego separatyzmu”, przewodniczący Bojarski powiedział: „Wy Fudżak, gdyby chcieli, to w walce z tą antypartyjną i antypaństwową działalnością powinni wykazać swoją realną aktywność i pomóc nam chociażby tylko w podtrzymaniu moich wystąpień. Wiem, że w wielu łemkowskich spotkaniach byliście bardzo aktywni. Na co dzień Bojarski odnosił się do mnie bardzo dobrze. Zaskoczeniem dla mnie a zarazem zrozumieniem zmiany mojej sytuacji było pominięcie mnie w udziale narady w KC PZPR. Dotąd przecież jakoś nie przeszkadzała i to w niczym moja bezpartyjność. Teraz bywało, że w Warszawie, w pociągu a nawet w innych odległych miejscowościach, dostrzegałem nad sobą „anielską” opiekę. Aż pewnego razu w Warszawie na Alejach Jerozolimskich zostałem zatrzymany i wylegitymowany jakoby za nieprawidłowe przechodzenie przez jezdnię i spisany przez cywila w obecności milicjanta w mundurze. Przez kilka następnych dni ten przystojny cywil w różnych miejscach zjawiał się przy mnie jak cień i począł namawiać mnie na przeniesienie się do pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa. Sypał obietnicami wysokich zarobków, otrzymaniem mieszkania, szybkich awansów i chodzenie po cywilnemu ubranym. Gdy wreszcie twardo zażądałem, aby pozostawiono mnie w spokoju, to wtedy poskutkowało, ale tylko na tyle, że teraz na wstąpienie do UB namawiali mnie już tylko Perun i Bojarski. Gdy po kilku dniach z delegacji wracałem do Warszawy,

Bojarski witał mnie słowami: „Nu i szczo Fudżak, peredumały? Bude wasza zhoda?” Niezmiernie zdziwiony udałem, że nie rozumiem o czym on mówi. Wtedy Bojarski w otwartych słowach zaczął mnie przekonywać podobnie jak ten tajniak na ulicy, tylko jakby wielce życzliwie i po koleżeńsku. Po rozmowie z Bojarskim i mojej stanowczej odmowie, w której Bojarski mi powiedział, że na dłuższą metę w kierownictwie Towarzystwa nie może pracować nikt, do kogo Służba Bezpieczeństwa nie miałaby pełnego zaufania. Po powtórzeniu mojej odmowy, nikt więcej już mnie nie namawiał a po kilku dniach dostałem delegację na wyjazd do Zyndranowej, aby tam pomóc Teodorowi Goczowi zorganizować koło UTSK, co wykonałem starannie, gdyż zdawałem sobie sprawę po co i do kogo tam jestem kierowany. Gdy wróciłem do Warszawy, na biurku Bojarskiego leżał dokument z MSW otrzymany drogą służbową, że jakoby ja tam zorganizowałem nie koło UTSK tylko jakieś łemkowskie separatystyczne. Treść protokołu i na nim podpisy koła UTSK w Zyndranowej. Sprawę dość zwięźle skwitowały słowa Bojarskiego: „Wy sami rozumiecie..., chyba, że jeszcze się namyślicie?” a po chwili „Fudżak, ja was naprawdę szczerze lubię i cenię i dlatego biorę na siebie to, aby was nie zwolniono dyscyplinarnie, bo rozumiecie, że naszym płatnikiem jest MSW, a więc też ma prawo od nas wymagać, a wy tego nie chcecie czy nie możecie zrozumieć więc napiszcie tu zaraz podanie, że sami prosicie o zwolnienie z pracy.

Tak się też i stało, a uściski dłoni pożegnania tak Bojarskiego, jak też wszystkich innych w redakcji „Nasze Słowo” były dla mnie serdeczne. O dalszy mój los społecznego zatrudnienia na Podkarpaciu starali się mi pomóc Adrian Hoszowski i Stefan Makuch, a ze strony byłej antyhitlerowskiej partyzantki także poseł do Sejmu Wojciech Kosiba i jego przyjaciele. Tu miałem dopiero przekonać się jakie skutki może mieć moja odmowa wstąpienia do UB. Wyjątkowo i osobiście mściwym w tym okazał się pracownik MSW Dymitr Perun. On to z ministerialną legitymacją UB w rękę i osobiście dopilnował, aby mi nie zwrócono niczego z ojcowskiej posiadłości i nie zameldowano.

Ponadto spowodował zablokowanie mnie, abym nigdzie w powiecie jasielskim i krośnieńskim nie został przyjęty do żadnej pracy. Usiłował wobec mnie stosować rozmaite formy prowokacji, niszczenia i kompromitacji między innymi takie, że po przyjacielsku zaprosił mnie do swojej rodziny w Ropicy i w rozmowach o powrotach wysiedlonych, wskazując na mnie palcem powiedział, że wszyscy wysiedleni mogliby powrócić, tylko ja na to nie pozwalam. Pracowników administracji w Jaśle służbowo namawiał do potwierdzania przeciwko mnie fałszywych pomówień, które on usiłował wobec mnie tworzyć, a wszystko to za jedyną przyczyną, że jego wielokrotne przygotowywanie mnie na ubowca w warszawskim Hotelu „Central” i w jego mieszkaniu nie uzyskały mojej zgody, jak też, żądaniom Dońskiego, abym potwierdził, że jakoby on Perun należał do naszej łemkowskiej partyzantki, spowodowały na mnie aż taką mściwość. A takiego poświadczenia ja nie mogłem napisać, bo to byłaby nieprawda, gdyż powszechnie było wiadome jak on pracując dla niemieckiego okupanta w gorlickim Arbaitsamcie nie szczędził tam osobistej gorliwości. Na potwierdzenie powyższego załączam stosowne i miarodajne potwierdzenie.

Za wsparciem byłych partyzantów pracę dostałem, ale na obcym mi terenie i z dala od rodzinnej ziemi, która i dotąd leży odlegiem a ja nie mam do niej żadnego prawa ani moje dzieci. Cóż, żyję w Polsce i zwany jestem Ukraińcem.

Jan Fudżak

